Nr. 26. Warszawa, dnia 13 (25) Czerwca 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Do dzisiejszego numeru ***Prawdy*** *dołączamy w bezpłatnym dodatku początek znakomitego dzieła Maksimowa:*

Syberya i ciężkie roboty
(Sybir i katorga).

Dzieło to składa się z trzech tomów: pierwszy z nich mówi o „nieszczęśliwych,“ drugi o „winnych i oskarżonych,“ trzeci o „przestępcach politycznych i państwowych.“ Wielkie zajęcie, jakie zbudził śród czytelników naszych ***Sachalin*** *Doroszewicza, pozwala nam mniemać, że gruntowna praca Maksimowa, rozszerzająca znacznie widnokrąg tych fejletonów, zyska jeszcze głębsze uznanie. Stanowi ona w swym przedmiocie książkę źródłową, a przytem niezmiernie ciekawą. Syberya więzienna i karna tworzy dziś świat osobny, nowy, nieznany, a dla socyologa, psychologa, dla każdego wreszcie myślącego człowieka bardzo pouczający. Tych spostrzeżeń, tych prawd, tych uczuć, jakie z niej poczerpnąć można, nie dostarcza żadna inna kraina, żadne inne zbiorowisko ludzkie. Dowiedli nam tego swemi powieściami Szymański i Sieroszewski, przekonywa obszerniej i dowodniej dzieło Maksimowa, które powinno wzbogacić wiedzę czytelników* ***Prawdy.***

POLITYKA.

Dymisya Rudiniego.

Po zaburzeniach, które w końcu kwietnia i początku maja przeleciały przez całe prawie Włochy, a w Medyolanie ukształtowały się w rewolucyę z barykadami i walką na noże i kamienie, rozsądek polityczny, przejęty życzliwością dla narodu od lat tylu swego środka ciężkości znaleźć niemogącego, wskazać mógł jeden tylko rzetelny, prawdziwego rozumu stanu godny sposób zużytkowania krwawej nauki wypadków: poprawę prawodawstwa, dotyczącego ludu, jego społecznego stanowiska i społecznych ciężarów. Rudini tak z tej wskazówki skorzystał, że zaczął prawodawstwo poprawiać, gruntownie je psując. Ułożył dla Izby projekty, ścieśniające swobodę ruchów, nakładające różne kajdany i kagańce, a gdy je chciał przez swój gabinet przeprowadzić, wystawił się na to, że ludzie z lepszemi głowami i sercami czystszemi, jak Zanardelli, wymówili mu posłuszeństwo. Kilku ministrów wyszło, Izba się odroczyła; gabinet z trudem niemałym, z pochyleniem ku prawicy, udało się Rudiniemu odbudować i wreszcie d. 16 b. m. okazać noworodka pełnomocnikom narodu.

Wraz z nowym gabinetem przedstawił Rudini sejmowi i nowe prawa, mające na celu „zabezpieczenie obrony socyalnej, poprawę stosunków ekonomicznych i zapewnienie porządku publicznego“ — jak się margrabia prezes dosłownie wyraził. Takiemu celowi odpowiedzieć miało przedewszystkiem upoważnienie rządu do ogłaszania stanu oblężenia tam, gdzie się to potrzebnem okaże, nie czekając na prawo, które parlament tylko wydać może. Posiłkowo działać miało przywrócenie przepisu z r. 1894 o przymusowem zamieszkiwaniu w miejscowości przez policyę wskazanej, czyli o internowaniu. To jeszcze nie wystarczało. Rudini zażądał: obostrzenia odpowiedzialności dziennikarskiej i wzmocnienia kontroli policyjnej nad prasą; odroczenia wyborów do ciał przedstawicielskich samorządowych na rok jeden; zakazu odradzania się stowarzyszeń przez rząd raz już zdławionych; prawa powoływania do służby wojskowej urzędników telegrafów, poczt i kolei państwowych; wzmocnienia karności szkolnej. Taką naukę margrabia wyciągnął z owych zaburzeń całomiesięcznych, a zwłaszcza z wypadków medyolańskich! Odczytawszy swój czarny regestr, zażądał odesłania projektów do komisyi z dziewięciu członków przez samego prezesa Izby wybranych. Jest to procedura nagła w wypadkach jasnych: a tutaj przecież nic nie nagliło, sama zaś treść wniosków była arcy-mętna.

Wstręt, jaki wzbudziło zaprojektowane prawodawstwo, wzrósł jeszcze od wrażenia, jakie zgotowała większości zgromadzonych na samym początku posiedzenia sprawiedliwość państwowa, która ramię swe wyciągnęła w Izbie, aby pochwycić aż ośmiu naraz posłów jakoby występnych: Andreis'a, Bertossiego, Bisolatiego, Costę, Morgariego, Pescettiego, Rondaniego i Turatiego. Nie pomogły już nic dodatnią już wartość mające wnioski dalsze gabinetu: zasiłki dla gmin zgłodniałych, zniesienie lub zmniejszenie różnych opłat gminnych, ciężących na biedactwie, a w szczególności uchylenie zupełne podatku konsumcyjnego w gminach pomniejszych. Izba nie chciała oddać wyboru komisyj rozpoznawczych samemu prezydentowi, nie chciała też na gorąco projektów do komisyi, tak lub owak obranych, odsyłać, i p. Rudini jakby na ironię wydzwoniwszy jeszcze frazes o pięćdziesięcioleciu konstytucyonalizmu we Włoszech, opuścił d. 16 b. m. Izbę z poczuciem jedynego obowiązku, jaki na nim mógł jeszcze ciążyć: dostrzegł konieczność podania się do dymisyi.

Zebranie się wszystkich stronnictw przeciw - rządowych pod jeden sztandar, zatknięty przez Zanardellego, nie zostawiło już gabinetowi innego wyjścia. W d. 18 b. m. stanął on ponownie przed Izbą, aby ją o ustąpieniu swem zawiadomić; ale i w ostatniej już chwili spokoju nie zaznał. Sam wywołał burzę wezwaniem parlamentu do odroczenia posiedzeń. Spo-

dziewano się odejścia w milczeniu: wezwanie rozsrożyło. Takiego posiedzenia, jak to z d. 18 b. m. dawno nie pamiętają nad Tybrem, gdzie przecież zapamiętać mogli dużo. Cała namiętność wstecznictwa, trzymającego z Rudinim, nieczułego na niedolę milionów, obracającego się tylko naokoło siebie i zawsze z siebie zadowolonego, trupim swym blaskiem rozświeciła otchłań umysłowości politycznej Włochów doby dzisiejszej. Biednym być musi, choć wolnym jest, naród, w którego sejmie znaleźć się mogło stu jego przedstawicieli, z pięściami lecących do kolegi, co śmiał na owo wezwanie Rudiniego krzyknąć: „Nie pójdziemy! Zostaniemy!“— a potem nie wahał się przypomnieć rozlewu krwi w Medyolanie wskazaniem Rudiniego jako głównego sprawcy.

Król od 18 b. m. tworzy nowy gabinet; chce w nim koniecznie senatorów. Poród idzie powoli. Najprędzej skończy się na sterze Sonnina—nazywanego „wschodzącą gwiazdą Włoch.“

Tydzień polityczny. Wyprawa Shaftera przybiła już do Kuby. D. 21 b. m. z Waszyngtonu doniesiono o wylądowaniu o 17 mil morskich (około 4 geogr.) na zachód i o 8 mil na wschód od Santjago. W niedzielę Sampson naradzał się z Garcią, naczelnikiem; naradę powtórzył w towarzystwie Shaftera zaraz po wylądowaniu. D. 21 b. m. ostrzeliwano Santjago. Blanco wysłał 6 batalionów. Żółta febra wmieszała się do wojny, oczywiście ze szkodą Amerykanów, żywiołu obcego. Na gen. Blanco wykonał w przeszłym tygodniu zamach niejaki Sylvo, ochotnik, z okrzykiem: „Niech żyje Weyler“; marszałek raniony w obojczyk. Z Madrytu przeczą.

Camara z Kadyksu przepłynął Gibraltar, jakoby dla zmylenia śladu; miał zawrócić i potajemnie wpłynąć na Atlantyk. Wygląda to na legendę lub na żart. W Waszyngtonie wierzą, że admirał zawinął do jednego z portów śródziemnomorskich. Z Gibraltaru Reuter donosi, że królowa Krystyna zamierzyła abdykować — z regencyi chyba, nie z królewskości swego syna. Don Carlos z Brukselli czyha na tron.

We Francyi p. Faure'owi odbudowanie gabinetu idzie jeszcze trudniej, niż królowi Humbertowi we Włoszech. Do środy nie było nawet powołanego do tworzenia z widokami utworzenia. Ribot daremnie usiłował coś zrobić; nie lepiej powiodło się drugiemu umiarkowanemu, p. Dupuy; rozbija sobie głowę trzeci, już ostrzejszy, p. Sarrien. Brisson i Bourgeois czekają na swą kolej. P. Faure chciałby ich niepotrzebować — może będzie musiał.

W Niemczech dzień 16 b. m. dał 211-3 ostatecznie wybranych; 184—6 wyjdzie dopiero z wyborów ponownych. Najwięcej przeszło w pierwszy już dzień środkowców 85, socyalistów 32, Polaków tylko 13; czterech jeszcze stanie do walki.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Ruch przedwyborczy.—Protest *Orędownika*.—Kompromisy. — Wyniki wyborów. — Prof. Hans Delbrück w sprawie polsko-niemieckiej. — Proces prasowy.—Zjazd lekarzy i przyrodników polskich.

Sprawa wyborów do parlamentu niemieckiego wywołała w dzielnicach polskich ogromne ożywienie, gorączkę, a zarazem w najwyższy sposób rozbudziła namiętności stronnictw i warstw, doprowadziła do walki zaciekłej. Na zgromadzeniu przedwyborczem w Poznaniu wstrząsnęła umysłami straszna burza skutkiem zatwierdzenia kandydatury p. Franciszka Andrzejewskiego, przedstawiciela partyi ludowej pod znakiem *Orędownika* i *Postępu*. Przypuszczano, że ostatnia instancya wyborcza, tj. zgromadzenie delegatów prowincyonalnych, odrzuci tę kandydaturę; ale liczono jednocześnie na to, że przynajmniej dla zażegnania burzy i rozjątrzeń postawiony będzie kandydat kompromisowy, dla obu stron sympatyczny. Przypuszczano oczywiście z pewną dozą naiwności, bo doprawdy trudno sobie wyobrazić tak idealnego człowieka, siedzącego na dwu stołkach, któryby choć brzeżkiem jednego z tych stołków nie zakołysał, któryby na jednym nie usiadł mocniej i szerzej. Takiego kandydata, jak się należało spodziewać, nie znaleziono. Skutkiem zaś agitacyi obozu *Dziennika* i *Kuryera*, na zebraniu delegatów zwyciężył p. Motty, przeciwnik p. Andrzejewskiego. Również zwycięzcą jest poseł Dziembowski, odrzucony przez zebranie wyborcze w Pleszewie i Jarocinie, a pomimo to zatwierdzony przez instancyę ostatnią. Tak więc pewna klika święci tryumf, z pogwałceniem interesów, potrzeb i żądań większości. Wywołało to wielkie rozgoryczenie w masach i odbiło się namiętnie na szpaltach *Orędownika*. Oto co organ ten pisze: „Na takie lekceważenie i ośmieszanie przekonań politycznych szerokich mas ludu są tylko dwa sposoby: albo postawić sobie własnego kandydata i, nie pytając o uchwały delegatów i komitetu prowincyonalnego, jak oni nie pytają o wolę i życzenia wyborców, na niego głosować; albo też, jeżeli czas za krótki na wyszukanie sobie odpowiedniego kandydata, nie pójść wcale na wybory. To są środki prawdziwie radykalne, ale jedyne, żeby na drugi raz nie ośmieszano i w ten sposób nie poniżano w oczach społeczeństwa naszego i w oczach Niemców woli i przekonań politycznych wyborców. Jeżeli u nas solidarność narodową używają za skorupę, pod którą lud polski ma się zadusić, to obowiązkiem ludu jest rozsadzić tę skorupę, żeby mógł odetchnąć świeżem powietrzem i żyć a nie dusić się. Tak nakazuje rozum polityczny i dobrze zrozumiany interes narodowy ludu polskiego. Taką solidarność narodową lepiej rozsadzić i roznieść na wszystkie cztery strony świata, aby po niej ani śladu nie pozostało i postawić ją potem na mocnych, zdrowych fundamentach ludowych. W Poznaniu damy sobie radę, a w okręgach, gdzie przeciwko woli ludu narzucono zdeklarowanych szermierzy polityki ugodowej, jeżeli czasu nie starczy do wyszukania innych kandydatów, wstrzymać się od głosowania i nie pójść wcale na wybory!“

„Spokojni“ i „oględni“ nie mają słów potępienia na taką odezwę *Orędownika*, wychodząc z tego stanowiska, że jest ona szkodliwą dla interesów polskich. Zapominają, że jeszcze bardziej szkodliwą jest przyczyna, która wywołała taki protest. Panowie ci wolą kompromisy, które może są w ich osobistym interesie, ale nie w interesie ludu polskiego. Tak np. w ich myśl uchwała delegatów orzekła, ażeby ludowi polskiemu w dwu okręgach polecić kandydatów niemieckich, należących do stronnictwa centrum. Przewidują oni, że w ten sposób przeszkodzi się zwycięztwu Niemca konserwatysty, ale nie przewidują, w jaki fatalny sposób może to oddziałać na warstwy nieoświecone ludu. Już na zebraniach przedwyborczych trze-

---

58)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

„Orfeusz sachaliński.“

Korsakowsk — to królestwo śledzi.

— Śledzie idą!—to ważna chwila dla więźniów, osadników, przemysłowców — dla wszystkich. To jest produkt, którym się żyje cały rok.

* * *

Co za obraz fantastyczny! Co za dekoracya!

Na powierzchni morza płynie rzeka mleczna.

Dokoła srebrzą się fontanny wielorybów, ryczą morsy, z jękiem unoszą się tysiące czajek.

I nad tem wszystkiem panuje Kramarenko!

„Orfeusz Sachaliński,“ który zamienił skrzypce na śledzia.

Ale i skrzypce nie zawsze były stałym instrumentem jego. Niegdyś grywał na innym: szczotach, gdy służył w kantorze astrachańskiego przemysłowca rybnego.

P. Kramarenko—człowiek młody latami lecz stary doświadczeniem.

Liczy lat 30, a zdążył już być kantorzystą, skrzypkiem-wirtuozem i wreszcie stał się przemysłowcem.

Zaznał laurów i żywi się śledziami.

Jak sam szczerze wyznaje, o śledziu ma tyle pojęcia, co każdy, komu się zdarzyło widzieć tę rybę, przyrządzoną z octem, oliwą, cebulą, kartoflami itd.

Wie on, że śledź jest wyborną zakąską, rymującą się z wódką (*sielodka, wodka*).

Ale na tem się kończy cała jego znajomość rzeczy.

Nawet wasz sługa pokorny, i ten jak się okazało, więcej jest doświadczonym w porównaniu z Orfeuszem sachalińskim.

— Dlaczego pan soli śledzie tylko sposobem suchym, to jest przesypuje solą?— zapytałem. — Wszak lepiej puszczać rybę do gotowego już roztworu z soli. Nałykawszy się tego płynu lepiejby przesiąkły solą i byłyby delikatniejsze.

P. Kramarenko spojrzał na mnie dużemi oczami, jak na człowieka, który dopiero co odkrył Amerykę.

— A wie pan — to pyszna myśl!! Koniecznie spróbuję!

„Pyszna myśl,“ która już dziesiątki lat jest stosowana w praktyce! O tym sposobie słyszałem od rybaków kerczeńskich przed sześciu laty na jarmarku w Niższym Nowogrodzie.

— Czy pan miał własne przedsiębiorstwo rybne w Astrachaniu?

— Nie!

— Był pan specyalistą w tym procedorze?

— Także nie. Byłem rachmistrzem w kantorze kupca. Gdy zaś szły śledzie— wszakże ten jeden tydzień żywi przez cały rok — wtedy się rzucało wszelkie rachunki; wszystkich nas posyłano doglądać robotników. Tam widziałem.

Oto i wszystko. Cała szkoła. Cała znajomość rzeczy.

Porzuciwszy rachunki, wziął pod pachę skrzypce, na których jako amator ładnie grał, i pojechał do kraju Usuryjskiego.

Tam odrazu doznał powodzenia. Cały kraj tańczył przy jego muzyce. P. Kramarenko grywał na weselach, na chrzcinach, imieninach, ozdabiał siebie medalami fantastycznymi władców egzotycznych i dawał koncerty w charakterze skrzypka nadwornego emirów afganistańskiego, bucharskiego i kirgiz-kołpackiego.

Tak samo chętnie grał Wieniawskiego, Berlioza, jak polkę, koncerty Paganinie-

żwi obywatele poznańscy ostrzegali, że postawienie kandydatów niemieckich wprowadzi zamęt niebezpieczny do pojęć ludu polskiego. Nic to wszakże nie pomogło i „jakby na poniżenie narodowe—mówi *Orędownik* — komitet prowincyonalny używa do kompromisów z Niemcami w okręgach, w których lud polski całą siłą prze naprzód i zdobywa sobie coraz silniejszą podstawę do obrony w walce z germanizmem."

Pomimo iż pierwotnie wszyscy prawie delegaci w zasadzie oświadczyli się przeciw tym kompromisom, większość następnie uznała doniosłość takiego środka w okręgach leszczyńsko-wschowskim i babimojsko - międzyrzeckim. Chodziło im nie o dobro mas ludności i interesów polskich, lecz o spełnienie przyrzeczenia, danego niegdyś przez komitet prowincyonalny katolikom-Niemcom, którzy w poprzednich wyborach głosowali na Polaka.

Urzędowy rezultat wyborów nie jest dotychczas dla nas pomyślny. W. Ks. Poznańskie straciło jeden okrąg— bydgoski, a natomiast zdobyło jeden nowy: Wyszysk-Szubin. Mandat z Warmii — przepadł. Najwięcej strat poniosły Prusy Zachodnie. W okręgu Świeckim kandydat niemiecki zwyciężył większością 121 głosów; w okręgu zaś brodnicko-grudziądzkim — większością 20 głosów. Rezultat ten wszakże jest oparty na nadużyciach, które już ujawniono i podobno skutkiem tego wybory będą unieważnione.

Profesorowie niemieccy coraz częściej i baczniej zaczynają wglądać w stosunki polsko-niemieckie i traktować je nietylko ze stanowiska politycznego, lecz i etycznego. Oprócz dr. Jastrowa, docenta wszechnicy berlińskiej, zabrał niedawno głos w tej sprawie Hans Delbrück, również profesor uniwersytetu berlińskiego i zarazem redaktor miesięcznika *Preussische Jahrbücher*. Potępia on stanowczo obecną drapieżną i polakożerczą politykę pruską, nie w imię jakichś szczytnych ideałów miłości wszechludzkiej, lecz poprostu z pobudek praktycznych, gwoli interesom państwa niemieckiego. Oto jego poglądy i uwagi zasadnicze:

Gorliwość władz pruskich szerzenia znajomości języka niemieckiego ani jednego Polaka nie nawróciła do niemczyzny; przeciwnie, władanie dwoma językami daje mu przewagę nad Niemcami. Komisya kolonizacyjna powiększyła żywioł niemiecki o 1,200 kolonistów, czyli o 3,000 głów, w najlepszym razie osadzi około 40,000 ludzi, w ciągu jednego pokolenia. Cóż to znaczy wobec wzrostu żywiołu polskiego o 231,000 dusz. od r. 1861—90! Czyż to nie jest gaszeniem płonącego domu za pomocą podlewaczki ogrodowej? Kto wie, czy to nie jest dolewaniem nafty do ogniu, albowiem korzyści płynących dla polskości z komisyi kolonizacyjnej nie należy lekceważyć. Gotówka i wysokie ceny, jakie komisya daje, niejednego Polaka bankruta postawiły znowu na nogi, a kosztowne gospodarstwa kolonistów stają się wzorem dla chłopów polskich. Pierwszy fundusz 100 milionowy oprocentował się po 2¼%; ponieważ zaś państwo płaci 3% za własne pożyczki, a więc podatkujący składają kolonistom rocznie w podarunku 600,000 m. procentów a pośrednio wyrzuca się bez zwrotu półtora miliona m. na kolonizacyę.

Jeżeli więc za 100 milionów m. 6,000 rodzin się osiedli, każda rodzina kosztować będzie państwo 16,000 m. kapitału zakładowego z trwałą roczną stratą 200 m. procentów. Komisya generalna nie chce osiedlać Polaków na włościach rentowych, jeżeli między nimi niema pewnego procentu kolonistów niemieckich. Jaki z tego skutek? Oto, że ta garstka Niemców z czasem się spolonizuje wśród otoczenia polskiego. Tak zawsze fałszywe zasady w praktyce doprowadzają do absurdu. Inaczejby było, gdyby komisya kolonizacyjna domagała się pełnych procentów od kolonistów, którzy się dziś uważają za pensyonarzy państwa. Jak pijawki ssą worek państwowy i korzystające z tego przyjemnego źródła utrzymania, do niczego nie doprowadzą. Ostatni środek, zalecany przeciw Polakom, tj. ożywienie uczucia narodowego, propagowane przez hakatystów, wywołuje, dzięki nietaktowi tych zagorzalców, reakcyę wśród samych Niemców i rozdwaja ich między sobą: natomiast dzięki tysiącznym szykanom rządu, utrzymuje się i wzmacnia jedność wśród Polaków. Wobec tego polskość musi ustawicznie robić postępy. Wszystkie środki, użyte przeciw Polakom, w gruncie rzeczy obracają się na ich korzyść. Walka kulturalna i prawo antypolskie uświadomiły pod względem narodowym chłopa polskiego, chociaż dawniej czuł on sympatye pruskie. Doświadczenia i klęski, jakie ponosimy — woła w końcu profesor — pouczają nas, że na zupełnie fałszywej znajdujemy się drodze. A jednak rząd i szowiniści wiedzieć tego nie chcą. Wciąż wietrzą jakąś agitacyę wielkopolską, przeciw niej występują nietylko na kresach wschodnich, ale i w głębi państwa niemieckiego, a mimo to, skutki tej agitacyi są coraz widoczniejsze, coraz szersze zatacza ona koła, pobudzając najspokojniejszych obywateli do opozycyi. Któż więc jest głównym sprawcą tego ruchu antiniemieckiego i antirządowego? Kto tym agitatorem winowajcą, którego rząd pruski nie może pochwycić i uczynić nieszkodliwym? Nie kto inny, jeno rząd sam, jego wykonawcy i poplecznicy! Uznają to sami Niemcy liberalni, zamieszkali w Poznańskiem, oświadczając, że od lat dawnych uprawia się w tej dzielnicy hecę antypolską, i że machinacye hakatystów wytwarzają sztucznie przeciwieństwa narodowe."

Polacy żyli w największej zgodzie z Niemcami, dopóki rząd niemiecki nie wydał przepisów, uciemiężających język! Do takiego przekonania przychodzą Niemcy praktyczni, którzy pragną dobra swojemu rządowi! Starają się oni prześladowcom otwierać oczy, wskazując to znamienne zjawisko, że wszystko, co tylko gnębi Polaków, wychodzi na ich korzyść, gdyż wytwarza hart, jedność i oporność.

Procesy prasowe nie ustają. Dn. 13 b. m. cała drukarnia i redakcya *Gazety Opolskiej* stanęła przed izbą karną sądu ziemiańskiego w Opolu. Wydawcę p. Koraszewskiego i redaktora odpowiedzialnego, p. W. Melcera, oskarżono w obrazę ministrów w artykule „Rok 1897," zamieszczonym w styczniu r. b. Koraszewski, jako „kierownik duchowy" gazety skazany na dwa miesiące, p. Melcer na sześć tygodni więzienia. Ponieważ na wydawcy ciąży jeszcze wyrok poprzedni, więc ma teraz osiem miesięcy więzienia.

Oferty na zjazd lekarzy i przyrodników polskich w Poznaniu (1—3 sierpnia) napływają bardzo licznie. Uczestnikom rozesłano już szczegółowe programy posiedzeń. Dotąd zapowiedziano 200 odczytów. Zjazd chirurgów polskich odbędzie się tym razem nie w Krakowie, lecz w Poznaniu, w połączeniu z sekcyą chirurgiczną. Komitet otrzymał dotychczas czterdzieści tematów z tej dziedziny. P. Jan Szczepanik przedstawi podobno na zjeździe swój dalekowidz.

et.

---

go, jak i kontredansa. Naśladował na skrzypcach lamentowanie baby, lub grał tropaka, jak na bałałajce. Gdy wreszcie ta sztuka różnorodna dokuczyła i jemu i całemu krajowi, pojechał „koncertować" na Sachalin.

Trafił on tam akurat na gorączkę, a nawet na „obłęd rybny."

— Ryba — to bogactwo Sachalinu! — wołano dokoła.

Istotnie, ryb tam jest olbrzymia masa; pełno ich i w rzekach i przy brzegach morskich.

Jak zaś do niej się wziąć, jak solić — nikt nie wiedział.

Każdy jadł śledzie, ale nikt nie wie, jak się je przyrządza.

Naraz przyjeżdża skrzypek - wirtuoz i w antraktach oznajmia:

A przecież, panowie, w Astrachaniu byłem przy przedsiębiorstwie rybnem; wiem, jak śledzie solą.

Porwano go, jak znaleźne.

Na trzy lata dano mu miejsce „dozorcy technicznego" nad procederem rybnym dla więzienia.

Powierzono mu studya w tym zakresie na Sachalinie.

W rezultacie zaś tych badań ułatwiono mu założenie własnego przedsiębiorstwa. Dani mu do pomocy: za groszową płacę skazańcy skarbowi, budowali, robili lochy, składy itd. Prawda, że robota licha. że lochy na nic niezdatne, że ze zbiorników ciecz solna wypływa, a ryba się psuje; ale to wina nie robotników, lecz architekta-skrzypka.

Pierwsze próby p. Kramarenki były dość smutne. Zrobiwszy jeden krok, potknął się na gładkiej drodze.

Pierwszy przypływ śledzi przeoczył. Do drugiego wziął się niezdarnie. Ryba się popsuła, musiano ją wrzucić do morza. Za trzecim razem, chociaż przyrządził śledzie, lecz były one tak okropne, że nikt ich tknąć nie chciał.

P. Kramarenko teraz się „uczy." Zresztą czego się on nie uczy? Dano mu las i za bezcen pracę katorżników; zapomogi tysiąc rubli, jako zaliczkę na rybę, której miał dostarczyć dla więzienia. Potem, zdaje się, zapomogę mu odebrano, przekonawszy się, że nie jest specyalistą. W „kalendarzu" sachalińskim p. Kramarenko zamieścił artykuł, w którym całkiem słusznie występuje przeciwko gospodarce rabunkowej rybaków japońskich.

Istotnie, taką cenną rybę, jak śledzie, łowią masami, gotują w kotłach i zamieniają na nawóz.

Cóż robi p. Kramarenko? To samo. Także prowadzi gospodarkę rabunkową, która nie daje ani grosza zysku.

Gdzież spoczywa sekret tak szybkiego i wielkiego powodzenia wirtuoza?

Przyczyny szukać należy w tem, że na Sachalin rzadko kto jedzie dobrowolnie.

Każdy ochotnik - przedsiębiorca, jako osobliwość, jest tu witany z rękami otwartemi, znajduje poparcie i pomoc.

Szkoda tylko, że ci przedsiębiorcy nie są przedsiębiorcami.

Nie ulega wątpliwości, że Sachalin jest to kraj bardzo bogaty, ale potrzeba tam ludzi świadomych rzeczy, obrotnych, energicznych, nie gnębicieli - wyzyskiwaczy, nie skrzypków weselnych, którzy się chwytają pierwszego lepszego procederu; nie ludzi wreszcie „bez określonego zajęcia, środków i sposobu życia."

Gdy na Sachalin przywędrują tacy, którzy włożą w przedsięwzięcie wiedzę, pracę i kapitał, wówczas wszystko się zmieni: i środki, i życie ludności.

Teraz przychodzą tam rozbitki, którzy w Rosyi ponieśli porażkę na wszystkich polach, albo też rabusie, źli organizatorowie bytu nieszczęśliwych mieszkańców Sachalinu.

„Handel okowitą."

Jeżeli Sachalin jest „osobnem samodzielnem państwem" — jak określa go żartem „inteligencya" miejscowa, to okrąg Korsakowski, odcięty od centrum

CELE DZIAŁALNOŚCI LUDZKIEJ.

III.

Z kolei rzeczy należy się zastanowić nad pytaniem o przyrodzie człowieka. Jedno, co się daje o niej powiedzieć, bez obawy popełnienia błędu, jest to, że *natura ludzka jest zmienną* w czasie, szczególnie ze względu na większe okresy. Ulega ona działaniu prawa rozwoju, tak zwanej ewolucyi, czyli ujawnienia ukrytych cech swoich. Pochodzi to ztąd, że przyroda nasza jest wielkością zależną od okoliczności życia, które oddziaływają na nią stanowczo nawet wówczas, gdy jest ona już wielkością mniej więcej oznaczoną, np. albo jeszcze dziką, albo już cywilizowaną, albo tylko przejściową. Człowiek bowiem łatwo się cofa wstecz, powraca do poprzedniego i wogóle do poprzednich stanów; trudniej postępuje naprzód, najłatwiej jednak pozostaje w stanie nieruchomości, zależącej od stanu umysłowej i moralnej obawy nieznanych przemian, od mizoneizmu*)—rozumie się o ile to jest możliwem przy sprzyjającym temu stanowi zbiegu okoliczności, i o ile to jest możliwem czasowo, gdyż tożsamość warunków życia jest dwojaka—zewnętrzna i wewnętrzna, a więc prawie niemożliwa. Zupełna zewnętrzna tożsamość jest niemożliwa z powodu mnóstwa drobnych zmian w otoczeniu, zależnych od działania czynników fizycznych. Wewnętrzna jest także niemożliwa w przeciągu dłuższego czasu z powodu ograniczonego wzrostu zdolności umysłowych, powstawania czynności refleksyjnych, ze świadomych i instynktowych z refleksyjnych; dzięki wreszcie oddziaływaniu stanów moralnych na umysłowe i w bardzo nieznacznym stopniu — umysłowych na moralne.

Te zmiany wewnętrzne zachodzą dzięki różnicy pomiędzy jednostkami, która jest przyczyną różnicy ich usposobień, ulegających sądowi innych. Skutkiem podobnego spółudziału w powstawaniu ogólnie uznawanych prawd staje się możliwem powstawanie samych tych prawd, a następnie i dalszy ich rozwój. Bo gdyby dobre i lepsze, złe i gorsze nie były zauważone i odczute przez nikogo zosobna, rozwój wogóle i rozwój ludzki w szczególności mogłyby bez żadnego naszego w tem interesu zupełnie się zatrzymać, trwać dalej lub wreszcie cofnąć się wstecz: bo wówczas ani wiedzielibyśmy o tem, ani życzyli tego, ani się tem cieszyli lub smucili."**) Rozwój tedy ludzki lub cofanie się, które jest także formą rozwoju, czyli jego zawieszeniem wobec przeciwdziałających przyczyn, jest cechą człowieka.

A w ten sposób miara oczekiwań naszych od przyszłości i stopień ich urzeczywistnienia jest *zmienną względnie*, jak i sama nasza ludzka przyroda. Ale przy wszystkich jej przemianach i zboczeniach, w różne jak najbardziej niespodziewane strony, według logiki faktów—pozostaje wszakże po odrzuceniu wahań pewna stała i niezmienna jej wielkość, wspólna wszystkim ludziom wogóle, czyli *bezwzględnie*.

Spoczywa ona w dążeniu każdego osobnika w społeczeństwie do zaspokojenia wspólnych mu ze wszystkimi innymi potrzeb przy spółdziałaniu ich w tym kierunku lub nawet przy przeciwdziałaniu, prowadząc do uorganizowania tych stosunków w sposób najbardziej sprzyjający owem dążeniu. Ale, że 1) potrzeby ludzkie są materyalne, umysłowe i moralne i 2) pierwsze, jako dotykalne i zmysłowe, a więc powszechne, mogą być zaspakajane i na drodze osobistych usiłowań, a jeszcze lepiej przy spółdziałaniu pewnej masy osobników, połączonych w grupy, przeciwdziałających innym grupom (klasom, stanom i t. d.), powstaje stąd ciągła walka, pomiędzy całością społeczną a jednostkami, kolektywizmu z indywidualizmem i jego odmianą klasowością. Skutkiem tego zamierzone przez jednych cele były ustawicznie ograniczane i modyfikowane przez innych, a żaden z tych celów nie mógł być nigdy w zupełności osiągnięty. Co budowali jedni, to burzyli inni. Stanowi to prawdziwą historyę ludzkości, której parodyę przedstawia podanie o sposobie budowania wieży Babel.

Ale i świadomość nasza o własnej przyrodzie pozostawia w tym względzie jeszcze wiele do życzenia, gdyż po ostatecznem streszczeniu wszystkich dążności człowieka, to ostatnie są rozmaicie tłomaczone. Bo uważamy je za wyłącznie materyalne tylko i traktujemy ze stanowiska tak zwanego materyalizmu ekonomicznego, albo za moralne głównie, które są najogólniejszym wyrazem istotnych, to jest najbardziej zgodnych z przyrodą człowieka jego potrzeb, o których ma on słabą tylko świadomość, które nie zostały jeszcze wyraźnie ujawnione na drodze rozwoju. Dają one wprawdzie objawy i niekiedy bardzo wyraźne swego działania, nawet wśród świata zwierzęcego, ale niedostatecznie jeszcze zrozumiane i wyjaśnione.

One to, zdaje się, mianowicie te potrzeby moralne są niewidzialnym kierownikiem spraw ludzkich, ukrytą sprężyną, poruszającą i powstrzymującą człowieka do jednych i od pewnych innych czynów, jeżeli nie w świadomy, to półświadomy sposób, czyli jakby instynktownie; chociaż nie możemy sobie wyobrazić momentu poprzedniej, koniecznej w tym razie, utraconej świadomości, jako warunku powstania samego instynktu.

Nie mniej ważne znaczenie mają tu i warunki niedające się przewidzieć, czyli tak zwane wypadki, jako wyjątkowe zdarzenia, zależne od zbiegu okoliczności, dla których niepodobna znaleźć innego tłomaczenia nad ich zawisłość od działania powszechnego prawa rytmu, czyli dążności do spokoju po poprzednich wahaniach w przeciwne strony.

Zważyć tylko należy osobliwość celów społecznych. Są one celami wszystkich części społeczeństwa, wziętych w całości, to jest celami przedewszystkiem jednostek, następnie coraz mniejszych ilościowo grup. Każda jednostka ma swoje własne osobiste, świadome cele, które w stosunku do każdej z nich są mniej więcej rozmaite, przeto mogą być i nawet powinny być częstokroć sprzeczne, wyłączające się i zaprzeczające sobie nawzajem. Stąd pochodzi nieprzyjazne, a nawet *wrogie usposobienie pomiędzy ludźmi i tem bardziej wrogie, im przyczyna jego jest mniej zrozumiała dla nich*. Że zaś cele ludzkie osiągają się, o ile to wogóle jest możliwem, na drodze działalności, a więc i na drodze wzajemnego przeciwdziałania jednostek, stąd też pochodzi i walka pomiędzy niemi, sprowadzająca najmniej oczekiwane następ-

*) Według zdania H. S. Main'a: „cywilizacya jest rzadkim tylko wyjątkiem w historyi powszechnej... Większa część rodzaju ludzkiego nie objawiała nigdy najmniejszej chęci ulepszenia swoich cywilnych instytucyj od chwili, kiedy po raz pierwszy przybierały one zewnętrzną formę spisanego kodeksu praw... Nieruchomy stan społeczeństwa jest ogólną zasadą, a postępowy — wyjątkiem." (*Starożytne prawo*, r. 2).

**) L. Bresson—*Les trois evolutions*, 1888, str. 217.

---

administracyjnego tundrami i tajgą, stanowi już „państwo w państwie" — Sachalin na Sachalinie.

Tam panują osobne porządki, zwyczaje prawa, nawet osobna jednostka monetarna.

Zwykłe znaki pieniężne w okręgu Korsakowskim nie istnieją. Wszelkie tranzakcye handlowe odbywają się tam za pośrednictwem spirytusu.

Jednostka monetarna — to butelka gorzałki, a raczej kartka na prawo kupienia butelki gorzałki. Ażeby zrozumieć tę „dewaluacyę," bardzo dogodną dla wielu, trzeba znać warunki sprzedaży wódki na Sachalinie.

Może nią handlować człowiek uprzywilejowany.

Kupować zaś ten produkt mogą w nieokreślonej ilości ludzie „wolnego stanu."

Osiedleńcy mogą kupować gorzałkę przed świętami, albo też na mocy kartek, wydanych przez ludzi wolnego stanu.

W handlu butelka wódki kosztuje 1 rs. 25 kop. Cena rynkowa waha się od 2 rs. 50 kop. do 6-ciu rubli.

Osiedleniec, otrzymawszy kartkę, kupuje za własne pieniądze butelkę wódki i sprzedaje ją z zyskiem innym osiedleńcom lub katorżnikom.

Nieraz sprzedają kartkę, która tak samo krąży, jak asygnacye. Bywają nawet kwity podrabiane.

Za te kwitki pp. „inteligentni" kupują od osiedleńców sobole (jedna kartka za sztukę), płacą nimi za produkty i roboty.

W rzeczywistości otrzymują wszystko *darmo*, dają tylko osiedleńcom możność prowadzenia handlu wódką i rozpajania katorżników.

Naczelnik okręgu, człowiek dość oświecony i humanitarny, p. Wołogdin, stara się zapobiedz temu.

Ale cóż może począć jeden wobec wszystkich? Szczególnie jeżeli ten „porządek" jest tak dogodny.

Jeden z dozorców osiedlenia, osobiście nie stosujący tego „porządku," starał się natomiast zastosować go do robót skarbowych.

Wybudował on za takie kwitki cerkiew, szkołę, warsztaty, dom dla urzędników przyjezdnych. *)

Pomysłowy finansista nie obliczył tylko tego, że pojawienie się na rynku dużej ilości kwitów musiało zniżyć ich wartość.

Osiedleńcy zrujnowali się zupełnie. Zamiast rubli, brali za te kwitki tylko grosze.

Śród owych nędzarzy widziałem ofiary tego przedsięwzięcia finansowego.

Nie mówię już o wpływie tego „systemu wódczanego" na moralność osiedleńców.

Za wódkę w Korsakowskim sprzedaje się i kupuje wszystko, nawet towarzyszkę życia lub córkę.

Ale jakież poszanowanie mogą mieć skazańcy dla tej „inteligencyi," która darmo zdobywa ich pracę i handluje gorzałką?

A tak dużo mówi się na Sachalinie o potrzebie podtrzymania karności!

— Katorga rozpuszczona, zuchwała, nieposłuszna!

Im się zdaje, że karność można podtrzymać jedynie tylko karami...

*) Jest tu mowa o tym samym redaktorze-wydawcy. (*Przyp. tłom.*).

stwa, tak zwane wypadki nieprzewidziane, fakty osobliwe. Ażeby usunąć tę walkę i jej nieprzewidziane następstwa, najczęściej niepomyślne dla obu stron, szczególnie ze względów moralnych, należałoby zrozumieć, że to, co się dziś zdobywa na drodze przeciwdziałania, mogłoby być osiągnięte na drodze spółdziałania. Stoi wprawdzie temu w znacznym stopniu na przeszkodzie okoliczność, że działalność jednostek zależy od pobudek fizyologicznych, instynktowych, refleksyjnych, uczuciowych, moralnych i rozumowych, czyli po części od nieświadomych, ale celowych, to jest mających przyczyny i skutki, — po części od świadomych, a więc mniej lub więcej logicznych. Z tej rozmaitości pobudek płynie ich zasadnicza sprzeczność, uważana (przez Tarde'a) za nielogiczną walkę ich pomiędzy sobą, zależącą od tego, o ile jest świadomem lub nieświadomem to, co człowiek czyni.

Jeżeli, oprócz tego, wziąć na uwagę liczne różnice, zachodzące pomiędzy jednostkami w społeczeństwie ze względu na ich typy antropologiczne, etniczne, umysłowe i moralne (włączając różnice ekonomiczne, stanowe, polityczne, religijne, językowe i wreszcie zupełnie już osobiste), ta rozmaitość celów ludzkich i działalności jednostek nabiera w oczach naszych charakteru sprawy bardzo poważnej i nadzwyczaj złożonej.

Rezultatem podobnej sprzeczności dążeń ludzkich i ich celów ma być osiągnięcie celu społecznego. Jakiego? Jednego bowiem, pożądanego przez wszystkich, jednostajnie uświadomionego nie ma, jest ich mnóstwo, ścierających się ze sobą i walczących przeciw sobie. Dlatego to cel ten jest ruchomy. Ulega wciąż zmianie, stanowiąc punkt wahający się to w jedną, to w drugą stronę, w zależności od wypadków. Jakie zaś mogą się zdarzyć kombinacye w tym procesie, tego żadna, nawet najbardziej umiejętna wyobraźnia przewidzieć nie jest w stanie.

(D. n.)

Feliks Bogacki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Wysiłki czeskie.

Gdybyśmy dotąd, jak niegdyś, wyjeżdżali za granicę końmi, moglibysmy z widoku dróg, prowadzących od naszego kraju, odgadnąć szczególne nasze upodobania i nałogi. Spostrzeglibyśmy bowiem, że gościńce, wiodące do Berlina, Wrocławia, Drezna, Wiednia i Paryża, są głęboko wyżłobione polskiemi kołami, podczas gdy na innych trawa obficie porasta. A niewątpliwie jednym z najbardziej zarośniętych byłby biegnący ku Pradze czeskiej. Oprócz kilkunastu badaczów i przyjaciół Słowiańszczyzny, zaglądających do wszystkich jej kątów, nasze fale podróżnicze przepływają przez stolicę Czech o tyle, o ile ona leży na szlaku dalszych ich celów: zaczepiamy o nią, jadąc do Karlsbadu, Marienbadu lub Monachium. Dzięki temu wielu z nas doskonale zna nawet *tingel-tangle* niemieckie, a nie przeczuwamy, że nad Wełtawą wyrosło miasto prześliczne, z którem nasza biedna, chociaż dwa razy większa Warszawa ani pod względem okazałości nowoczesnej, ani pod względem bogactwa pamiątek historycznych równać się nie może, a nadewszystko wyrósł naród, który mógłby nas dużo nauczyć.

Jeżeli miasta są również księgami dziejów, to na murach Pragi zapisały się one bardzo wyraźnie. Pomimo iż kultura niemiecka była trawiącym kwasem, który rozlewając się po narodzie czeskim, wyżerał jego tkanki zewnętrzne i przesiąkał trującem działaniem do wnętrza, nie miała ona już w sobie tej dzikości, jakiej potrzeba do zatarcia wszelkich śladów historyi. Ograbiono muzea, galerye, biblioteki i przeniesiono łupy do Wiednia, ale dziś jeszcze na gmachach publicznych, na wieżach, kościołach, pomnikach pozostały ocalone przed niszczącą ręką pamiątki historyczne, które są martwymi, ale wiarogodnymi świadkami tych czasów, kiedy naród używał pełni praw życia niepodległego. Herby ziem i ludów królestwa czeskiego na bramie mostu Karola nie są jedynie zabytkiem archeologicznym, lecz dokumentem, który codziennie odczytują zarówno Czesi, jak Niemcy i który w zaciekłej między nimi walce pada na szalę ich losów i wyników wagą naocznego dowodu. Toż samo rzec można i o innych skamieniałościach historyi. I dziś dopiero widać, jak te drobne, na pozór przedawnione w swej wartości znaki, pomagają do zwycięztwa jednym, a wytrącają broń z ręki drugim.

Ale Czesi nie poprzestali na przechowywaniu swych zabytków: zrozumieli oni wcześnie i dobrze, że trzeba je wzmocnić dorobkami pracy świeżej, nowoczesnej. Pomimo różnic stronniczych nie rozłamali się na wrogie warstwy, nie rozdzierali w dążeniach rozbieżnych, lecz w boju i znoju stanowili zwartą falangę. Ta łączność pozwoliła im wyzyskać przyjazne warunki rozwoju tak, jak ich nie wyzyskał żaden inny lud monarchii austryackiej. Nie będę tu wyliczał wszystkich, zresztą znanych tryumfów tego posuwania się naprzód wielką ławą, przytoczę wszakże kilka objawów bardzo wymownych. Cały świat oddawna powtarzał zasadę: *l'union fait la force*, ale oni dopiero okazali, co ta reguła warta jest w życiu praktycznem. Wytworzyli bowiem przedziwny system wznoszenia gór z ziarnek piasku, gromadzenia olbrzymich kapitałów z groszów. Podziwiając w Pradze wspaniałe i ogromne gmachy, którymi poszczycić by się mogły stolice europejskie, zapytujemy, skąd oni wzięli tyle kapitałów? Odpowiadają nam, że wszystkie powstały z centów. Uwierzyć trudno, ażeby centy złożyły się na teatr, Rudolphinum, Akademię sztuk pięknych itp., a przecież tak jest. Na ulicach Pragi rozwieszone są skrzynki szklane z napisami, proszącymi o wrzucenie do nich drobnych składek na rzecz Macierzy lub innej instytucyi społecznej. Rano puste — pod wieczór zapełniają się miedziakami. Z tych miedziaków wyrastają powoli miliony. Powoli?

— Siedzieliśmy sobie w tym ogrodzie — opowiadał mi jeden z Czechów — i patrzyliśmy z dumą na nasze „Divadlo,“ które z drobnych składek wzniósł „naród sobie.“ Nagle spostrzegamy, że z dachu wydobywa się dymek. Co to jest? Nie upłynęło pół godziny, nasz świeżo zbudowany teatr stał w ogniu. Wszystko spłonęło, prócz murów. Ryczeliśmy i szaleli z bólu, płakaliśmy jak dzieci, ale nazajutrz rozpoczęliśmy zbierać centy — i wkrótce mieliśmy teatr drugi, lepszy od poprzedniego.

Oni tak zawsze robią.

Tocząc zapamiętałą walkę z Niemcami, niby małe Dawidy kładą w swe proce centy i rzucają je na Goliatów. Jest w Czechach znany wszędzie — i u nas — fabrykant ołówków, Hardmuth. Ponieważ należy do zaciekłych hakatystów, więc Czesi wypowiedzieli mu wojnę... centową. Ogłosili towarzystwo akcyjne z udziałami po 5 guldenów (wnoszonych ratami!) i w przeciągu kilku miesięcy zebrali kapitał na założenie fabryki, która dziś już wyrabia doskonałe i tanie ołówki, a każdy patryota uważa sobie za święty obowiązek je nabywać. Tą samą drogą stworzyli fabrykę zapałek i dalej myślą robić wyłomy centami w innych szańcach przemysłu i burzyć jego twierdze niemieckie. Czy to nie budujący przykład solidarności narodu, wiodącego tytaniczne zapasy o byt!

W logice tych zapasów spoczywa konieczność grania bezustannie na strunach narodowych. To też życie Czechów poza pracą nad wyzwalaniem się ekonomicznem i podnoszeniem dobrobytu jest nieprzerwanym koncertem uczuć patryotycznych. Przeszłość i teraźniejszość dostarczają im ciągle ku temu powodów. Nie ominą oni żadnej pamiątki historycznej, żadnego wypadku współczesnego, ażeby na nim nie osnuć jakiejś uroczystości, która budzi i umacnia ducha narodu. Przed kilku dniami zwołali do Pragi cały świat słowiański, ażeby wraz z nimi święcił położenie kamienia węgielnego pod pomnik Palackiego. I rzeczywiście przybyli przedstawiciele wszystkich ludów słowiańskich, którzy nadali temu obchodowi doniosłe znaczenie. Jakkolwiek Czesi są szczerzy w swych sympatyach plemiennych i dziś może są głównymi, jeżeli nie jedynymi orędownikami i apostołami słowiaństwa, trudno wierzyć entuzyastycznym zapewnieniom telegramów z Pragi, nadających temu spotkaniu i wymienionym serdecznościom wagę „momentu historycznego, od którego rozpocznie się nowa epoka w życiu i stosunkach“ rodziny słowiańskiej. Nie, tak daleko nie posuwamy złudzeń, ale przyznajemy, że zjazdy w Pradze oddziałują bardzo silnie na losy Czechów i przebieg ich walki z Niemcami. Zajęli oni obecnie mocno obwarowany okop, jaki im usypał może nie całkiem świadomie hr. Badeni. Stoją też wytrwale na gruncie jego rozporządzeń językowych i z tego stanowiska bez rozpaczliwego oporu wyprzeć się nie dadzą. Ponieważ wszakże nietylko otrzymali tę redutę z rąk galicyanina, ale obronić ją mogą jedynie w przymierzu z Kołem galicyjskiem w Wiedniu, więc w tę stronę zwróciła się igiełka ich busoli politycznej. Nawet młode czesi zmienili tonacyę swoich hymnów i wcale nie dotykają tych klawiszów, które niedawno jeszcze wytłukiwali z taką zuchwałą brawurą. Za zbyt świeżą jest jeszcze w pamięci ta ich „muzyka przyszłości,“ ażeby można się było dziwić powolnemu rozwojowi współczucia i przyjaźni dla Czechów śród pobratymców, których oni jeszcze przed kilku laty poświęcali na ofiarę swego samolubstwa. Mimo to polscy Faustowie w wiedeńskiej Radzie państwa, którzy skłaniają ucho ku zdradzieckim pokusom Mefistofelesów niemieckich, powinniby odegnać od siebie nawet mary snu o przymierzu z odwiecznymi wrogami Słowiańszczyzny przeciw jednemu z jej konarów. Pisma wymieniają posłów (Rutowskiego, Madejskiego), którzy tę rolę chcą odegrać, a niektóre bronią ich taktyki. Doprawdy, jeśli po za nią nie kryje się jakaś niska rachuba, lecz dobra wiara i wola, to można powiedzieć, że są to ludzie i organy, dla których nic nie istnieje, co powinno dostarczać pobudek czynom publicznym: ani historya, ani logika, ani sumienie, ani zdrowy rozsądek, ani wskazówki doświadczenia. Niestety, ten rodzaj polityków, ślepych i głuchych na najoczywistsze dowody, mnoży się tam coraz bardziej.

Ubolewać zaś należy bardziej w interesie cofających swe ręce, niż wyciągających je. Bo jakkolwiek sojusz z Kołem galicyjskiem ma dla Czechów wielką wartość, nawet bez niego posuwać się oni będą, tylko nieco wolniej po drodze do niewątpliwego zwycięztwa. Naród z taką energią, z taką żywotnością, z takim bezprzykładnym talentem organizowania swych

sił bojowych i cywilizacyjnych zginąć nie może, chociażby go zalał cały ocean germanizmu. Kto chce zyskać to przekonanie, niech go nie szuka w mapie i statystyce, niech się nie wpatruje w małe kółko czeskie, opasane grubą obręczą niemiecką, w 7 milionów pańszczyźniaków, trzymanych w poddaństwie przez kilkanaście milionów uprzywilejowanych panów, ale niech zobaczy na miejscu, jak ci pańszczyźniacy wyzwalają się ze swego jarzma. Wtedy owo koło się rozszerzy, a owa cyfra wzrośnie do wysokiej potęgi.

Z uroczystości Palackiego w Czechach pozostanie gorętsze zarzewie patryotyzmu, pozostanie mocniejsze drżenie uczuć narodowych, pozostaną nowe pobudki do pracy i walki. Nigdzie w podobnych warunkach ta praca nie jest bardziej wytężoną, a ta walka wytrwalszą, nigdzie też nie mają wspanialszych wyników. Można Czechów za coś nie lubić, ale nie można ich nie podziwiać za wszystko, co robią dla swego odrodzenia się i wyjarzmienia.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

KWESTYA ARYJSKA.

Od niejakiego czasu sprawa pochodzenia Aryjczyków roznamiętnia badaczów. Jak z rogu obfitości sypią się wciąż do niej nowe przyczynki. Literatura przedmiotu w spisie, ułożonym przez prof. Williama Z. Ripleya, który świeżo zabrał głos, zawiera około setki monografij i prac, poświęconych specyalnie poszukiwaniu ojczyzny i typu rasowego praojców mowy aryjskiej. Był czas, w którym powszechnie uważano Azyę za kolebkę Aryjczyków. Wobec rezultatów badań ostatnich przypuszczenie to utraciło wszelką wartość, natomiast twierdzenie, iż mowa aryjska powstała gdzieś w północno-wschodniej Europie, nabrało siły przekonywającej. Bądź co bądź, sprawa jest daleką od ostatecznego wyjaśnienia, poglądy rozchodzą się tak radykalnie, że prócz uważania naszej części świata za praojczyznę szczepu aryjskiego, nie zachodzi żadna wspólność pomiędzy wynikami poszukiwań przeciwników pochodzenia azyatyckiego.

William Z. Ripley, profesor antropogeografii i socyologii w jednej z wszechnic amerykańskich, ogłasza obecnie szereg prac, dotyczących rasowej geografii Europy *) a posiadających bardzo znaczną wartość naukową. W liczbie tych przyczynków znajdujemy jeden specyalnie poświęcony wyświetleniu niektórych spornych punktów co do rodowodów aryjskich. Uczony zamorski skłonny jest do uważania Europy północnej za ognisko, w którem szczep aryjski powstał. Umieszczając praojczyznę Aryjczyków w naszej części świata, musiał on zbadać dzieje rasowe lądu europejskiego.

Ripley zaznacza, iż przymioty fizyczne ludności europejskiej świadczą, że wytworzyła się ona, skutkiem krzyżowania, z zasadniczych dwóch odmian rodu ludzkiego: jednej, posiadającej włosy, które w przecięciu dają koło, drugiej, mającej— elipsę spłaszczoną. Ludy mongolskie i cała Ameryka pierwotna posiadają włos gruby, gładki, okrągły. Natomiast czarne szczepy odznaczają się włosem zwiniętym jak wełna, co pochodzi ze spłaszczonych jego kształtów. Są to dwie odmiany zasadnicze, każda zajmuje zwartą przestrzeń na powierzchni globu. Studya nad kształtami włosa doprowadziły do wniosku, iż o ile mamy do czynienia z przedstawicielem czystej rasy, o tyle natura każdego pojedynczego włosa jest jednakowa. U mieszańców zamiast takiej jednostajności spotykamy krańcową rozmaitość: przecięcie włosa jest nieprawidłowe, każdy różni się czemś od innego. Właśnie ludność europejska przedstawia taki obraz pokrzyżowania i powikłania, co świadczy, że powstała ze zmieszania się szczepów prostowłosych i wełnistowłosych. Wprawdzie rysy twarzy, barwa włosów, oczu i cery i inne przymioty wyodrębniają ją od grup mongolskiej i murzyńskiej, ale natura włosów zmusza badacza do wniosku, iż rasy białe ukazały się dopiero w okresie późniejszym i że wyszły z powyżej wymienionych pniów. Chodzi więc o poznanie mechanizmu tego wytwarzania się.

Archeologia przedhistoryczna wraz z paletnologią dostarczają pewnych wskazówek co do kolejnych pokładów rasowych naszej części świata i mieszania się ich wzajemnego.

Po mieszkańcach Europy zachodniej i środkowej, najdawniejszego okresu kamiennego odnaleziono pewną liczbę czaszek. Antropologia zaznacza w nich różnice bardzo doniosłe, które pozwalają mniemać, iż ludzkość ówczesna naszej części świata bynajmniej nie była jednolitą pod względem rasowym, lecz jednocześnie przyznaje, że wszystkie te odmiany są długogłowe. Niektórzy z pośród badaczów usiłowali wykazać ich pokrewieństwo z podobnież dolichocefalicznymi murzynami Afryki, Boyd Dawkins zbliża pra-Europejczyków z Eskimami, którzy tak samo posiadają krańcowo długą budowę czaszki, Huxley zaś z obecnymi tubylcami Nowej Holandyi. Badania Pawła Broca poniekąd wyjaśniły sprawę ostatecznie, przynajmniej co do natury rasowej czaszek, znalezionych w jaskiniach Cro-Magnona i gdzieindziej. Uczony francuski wykazał, iż potomkowie rasowi Cro-Magnończyków istnieją jeszcze i obecnie we Francyi południowej i należą do typu śródziemnomorskiego. I Ripley podziela to zdanie. Zestawiwszy różne fakty, dochodzi on do wniosku, że najdawniejsza ludność Europy, po której pozostały czaszki, była nietylko długogłową, ale nadto ciemną, tj. posiadała śniadą cerę, czarne włosy i oczy, przyczem odznaczała się względnie wysokim wzrostem, wyższym aniżeli dzisiejszy śród południowców europejskich. Jego zdaniem ludy berberskie, zwłaszcza żyjące w oazach Sahary i silnie zmieszane z murzynami, stałyby, pod względem przymiotów, najbliżej Europejczyka paleolitycznego; w Europie zaś, z pośród znajdujących się typów, bruneci długogłowi Kalabryi i Hiszpanii oddalają się najmniej od dawnych mieszkańców naszego lądu.

W chwili obecnej, prócz długogłowców śródziemnomorskich, brunetów, istnieje w naszej części świata jeszcze inna odmiana dolichocefaliczna, blondyni. Siedzą oni w Skandynawii i Anglii, wzdłuż mórz Niemieckiego i Bałtyckiego, tem nieliczniej reprezentowani, im bardziej posuwamy się ku pasmu górskiemu, przerzynającemu Europę środkową. Przedstawiciele tego typu śród ogółu zaludnienia globu ziemskiego stanowią względnie procent nieznaczny i o ile można wnioskować z najrozmaitszych faktów, nigdy nie odgrywali ilościowo większej roli. W ciągu dziejów raczej rugowali innych, niż sami byli rugowani. Jest bardzo wątpliwem, ażeby istnieli w naszej części świata w okresie najdawniejszym, z którego pochodzą czaszki kopalne najstarożytniejsze, choć jednocześnie całe rozmieszczenie geograficzne blondynów, dzisiejsze i dawne, świadczy w sposób wymowny, iż jest to w całem znaczeniu tego słowa rasa europejska, istniejąca po za obrębem naszego lądu tylko wyjątkowo i w nielicznych gromadach. Trzeba więc przypuścić, że tutaj powstali w epoce względnie późniejszej. A ponieważ kształty czaszki stanowią przymiot trwalszy i oporniejszy, niż barwa skóry lub włosów, możemy więc przyjąć, iż wyłonili się w jakiejś okolicy z pośród długogłowców pierwotnych, pokrewnych z grupą śródziemnomorską. Większość badaczów ostatniej doby skłania się ku temu przypuszczeniu. C. Taylor pochodzenie długogłowych blondynów od brunetów uważa za jedynie możliwe wytłomaczenie faktów, Brinton i Keane podzielają również ten pogląd. Ripley zaznacza, iż w okolicach górzystych i nieurodzajnych obfitość blondynów wzrasta — i wnioskuje z tego faktu, że pomiędzy takiem otoczeniem a jasną cerą istnieje pewien związek przyczynowy. „Nie będziemy usiłowali zbadać, czy taki wpływ należy zawdzięczać tylko działaniu klimatu lub też niedostatecznemu pożywieniu, idącemu w parze z ubóstwem przyrodzonem pewnej miejscowości. Przypuszczamy, że w miarę tego, jak typ długogłowy okresu kamiennego stopniowo rozszerzał się w Europie północnej, wpływy otoczenia zwolna, nawet bardzo wolno, w ciągu wielu pokoleń, wytworzyły tę pododmianę rasową.“ Zresztą badacz amerykański stanowczo oświadcza, iż wyłączne oddziaływanie klimatyczne nie zdołałoby wywrzeć takiego skutku. Wskazuje on, że blondyni zmniejszają się w liczbie nietylko na południu od Skandynawii, ale także w kierunku wschodnim, choć warunki klimatyczne są takie same, i wyprowadza stąd wniosek, iż trzeba wziąć pod uwagę jeszcze inne bodźce. Takim czynnikiem, który wzmocnił działanie wpływów klimatycznych, był sztuczny, celowo i świadomie prowadzony dobór. „Gdyby nie brak miejsca, moglibyśmy wykazać, iż wyższe warstwy we Francyi, Niemczech, Austryi i na wyspach brytańskich posiadają jaśniejszą barwę włosów i oczów, aniżeli włościanie. Klasyczni pisarze rzymscy dostarczają obfitych dowodów co do tego punktu. Wiemy również, iż najezdnicy teutońscy z okresu przedhistorycznego byli blondynami. Wysoki wzrost i jasna cera stanowią przymiot pochodzenia szlacheckiego. Przypuśćmy, iż takie poglądy na szlachetność krwi rozpowszechniły się, że nadto doznały one wzmocnienia skutkiem sławy wojennej i przewagi historycznej Teutonów na całym lądzie Europy w okresie historycznym. Czy można wątpić wtedy o tem, że niezależnie od wpływów, wywieranych przez otoczenie, powstał pewien dobór, który z biegiem czasu wydał potężne rezultaty? Czy nie należy przypisać temu działaniu zarówno blondynowości rasy teutońskiej, jako też jej wyjątkowo wysokiego wzrostu?“

Krótkogłowcy stanowią dzisiaj żywioł rasowy, niemal wyłącznie panujący w górzystych okolicach Francyi i Europy środkowej. Zjawili się oni tam w epoce względnie późniejszej. O tem wymownie świadczą wykopaliska, dokonane w jaskiniach. W pokładach najniższych istnieją wyłącznie czaszki, należące do grup długogłowych, w nieco wyższych ukazują się mające budowę krótszą i zwolna mnożą się. Takie uwarstwienie odmiennych pierwiastków rasowych ujawnia się tem jaskrawiej, im bliżej posuwamy się do Alp, choć w samem ognisku górskiem, np. w Szwajcaryi, jest niecobecne: w tych okolicach niegościnnych żywioły krótkogłowe są pierwszymi mieszkańcami. Od czasu swego przybycia pozostali oni tam i jak dawniej, tak dzisiaj doliny górskie stanowią główne schronienie tego typu w Europie. Archeologia przedhistoryczna wy-

*) „The Racial geography of Europe“ w *Popular Science Monthly*. 1897 i 1898 rok.

kazała, że osiadlszy tam w osadach nadwodnych, krótkogłowcy cywilizują się coraz bardziej, od narzędzi kamiennych przechodzą do metalu, oswajają nowe zwierzęta, rozszerzają rolnictwo. Badania antropologiczne dowiodły także, iż zajmowali oni niegdyś rozleglejsze przestrzenie w naszej części świata; zdaje się, iż w pierwszej chwili rozszerzyli się oni bardzo, lecz później cofnęli się — mniejsza o powody. Jeszcze obecnie wybrzeże południowo-zachodnie Norwegii, Dania, wyspy Zelandzkie w Niderlandach zawierają w swem zaludnieniu znaczny procent krótkogłowców; Anglia w pewnej epoce dziejowej była zalaną przez nich i dopiero później oswobodziła się od tego żywiołu rasowego. Przedostał się on nawet do Tunisu. Najazd ten szedł od wschodu. W dzisiejszym stanie wiedzy niepodobna wyznaczyć ani jego dróg, ani punktów wyjścia z pożądaną dokładnością. Istnieją przecież pewne wskazówki. W Pamirze mieszkają szczepy, odznaczające się krótką budową czaszki, siwą barwą oczu, słowem pokrewne brachycefalom Europy. To świadczyłoby, że rodowodów typu krótkogłowego trzeba poszukiwać gdzieś w tamtym kierunku, podobnież jak śródziemnomorców w południowym. Żywioły brachycefaliczne, przybywszy stamtąd, zajęły Europę środkową, może podówczas pustą i przedostały się do wszystkich półwyspów i Anglii. Przyniosły one z sobą wyższą kulturę i znajomość wielu umiejętności technicznych. Lecz na północy pozostały grupy długogłowe—blondynów, dzikie, żyjące z myśliwstwa. Zapożyczywszy od najezdników wzory techniczne zaczęły wzrastać w liczbę i wraz z tem Skandynawia stała się ciasną dla zwiększającego się zaludnienia. Gromada za gromadą wychodzi stamtąd na rozbój dziejowy i zwolna rugujo krótkogłowców: ci tracą Skandynawię, Danię, Anglię. Wielka wędrówka ludów stanowi jeden z ostatnich wielkich rugów rasowych, dokonanych przez blondynów.

Ripley poprzestaje na zaznaczeniu faktów, które podaliśmy w powyższem streszczeniu, lecz powstrzymuje się od wszelkich uogólnień. O ile można mniemać, uważa on typy mongolski i murzyński za pierwotne. Każdy z nich odznacza się szczególną budową włosów. Z mongolskiego wytworzyły się z biegiem czasu żywioły brachycefaliczne Pamiru i naszej części świata, od murzynów pochodzą śródziemnomorcy i w dalszym ciągu blondyni. Tem to dałaby się wytłomaczyć niejednostajność przecięcia włosów u ludności europejskiej. Badacz amerykański ograniczył się rozbiorem rasowym narodów naszej części świata i możliwem pochodzeniem typów antropologicznych, właściwych Europie. Co zaś do kwestyi, wśród którego z pośród nich zjawiła się mowa aryjska, nie wypowiada się jasno. Uzupełnimy więc jego wywody uwagą, że większość nowszych badaczów, zajmujących się rodowodem Aryjczyków, przechyla się ku zdaniu, iż blondyni północni dali początek szczepowi aryjskiemu i mowę swoją narzucili ludom krótkogłowym. Nie braknie przecież i takich, którzy wypowiadają pogląd wręcz przeciwny, mianowicie, iż język aryjski powstał wśród krótkogłowców Pamiru i rozszerzył się stamtąd na Europę wraz z żywiołami brachycefalicznymi i kulturą rolniczą, którą one przyniosły z sobą do naszej części świata.

LITERATURA I SZTUKA.

PIĘKNO NOWOŻYTNE.

Krytyka jest, zdaniem naszem, nauką, opartą na estetyce, antropologii i socyologii. Pogląd ten, przyjęty mniej więcej powszechnie, przed rokiem 1880 dzięki dziełom Taine'a, następnie pod wpływem impresyonistów, znacznie i z wielką szkodą dla wiedzy osłabiony został. W miarę tego jednak, jak nauki społeczne czynią coraz większe postępy, pogląd Taine'a nabiera siły nieprzepartej oczywistości. Literatura i sztuka są prawdziwą „duszą społeczną," dokładnym niewyspecyalizowanym jej wyrazem. Zjawiska, tu należące, podlegają takimże prawom nieubłaganym, jak zjawiska ekonomii lub antropologii, a o ściśle naukowym charakterze tych ostatnich nie może już być żadnej wątpliwości.

I dlatego idealnym krytykiem byłby tylko socyolog, któryby był zarazem antropologiem i estetykiem. Wprawdzie nawet przy skupieniu wszystkich tych cech krytyk jeszcze pozostanie subjektywistą: jest to zło konieczne, naprzód dlatego, iż wszystkie nauki powyższe jeszcze ostatecznie nie są ustanowione, a powtóre dla niesłychanej złożoności zjawisk estetycznych i literackich, które tylko z wielką trudnością mogą być poddane badaniu naukowemu. Ale niezależnie od tego krytyk ten głębiej pojmować będzie zjawiska odnośne, im rozleglejszą jest jego znajomość wspomnianych dziedzin naukowych.

Dühring jest właśnie jednym z krytyków współczesnych, którzy najbardziej przybliżają się do powyższego ideału. Filozof, socyolog, ekonomista, matematyk, jak błędny ognik, przerzuca się z jednej dziedziny do drugiej i należy do tych osobistości genialnych, którym gmin chętnie zarzuca brak charakteru dlatego, iż nie może zrozumieć tak delikatnej i skomplikowanej budowy duchowej. Każda jednostka, zaczynając od swego punktu wyjścia, wznosi się zwykle coraz wyżej i wyżej, póki nie napotka odpowiedniej sfery społecznej, w której zaczyna już regularnie odbywać swą czynność życiową.

Istoty o budowie duchowej prostej bardzo łatwo odnajdują sferę odnośną i tam czerpią równowagę; natomiast im umysł jest lotniejszy, tem dłużej się wznosi i szuka, zanim znajdzie warstwę społeczną, któraby mogła uwięzić go i zatrzymać. Z punktu widzenia krótkowidzów, którzy drzemią umysłowo na straży kilku frazesów, przyjętych w młodości bezkrytycznie, pierwsze mogą się wydawać jednostkami obdarzonemi charakterem, drugie — bez charakteru. Dodajmy, iż stado tych ostatnich nie lubi, budzą one w niem, jak wszystko niezrozumiałe, wielki niepokój. Ono chce klasyfikować i etykietować nas raz na zawsze. Jest to wygodne dla śpiączki i ułatwia ocenę ludzkich wartości. Nagradza więc swą przychylnością t. zw. stałość i wierność przekonań, które mu ułatwiają zadania. Tak pojęty charakter znajduje się w zupełnej sprzeczności z inteligencyą i społeczeństwo może sobie śmiało powiedzieć, że jeżeli ceni nadewszystko „charaktery," to musi się wyrzec umysłów. Jest to jeden z najbardziej opłakanych doborów społecznych, który prowadzi do rozkwitu rasy ociężałych byków i zaniku Euforionów. N. N. w dwudziestym roku życia ogłasza się za demokratę — stado przyjmuje to pod uwagę i, nie chcąc zbyt wiele znaczenia przypisywać jednostce i zbytnio się nią zajmować, żąda, by został demokratą do końca życia. W 25-tym roku N. N. pod wpływem wzrostu spostrzega, iż raczej powinien się uważać za arystokratę — stado jest oburzone. A gdy w 30-tym roku życia N. N. spostrzega wreszcie, iż nie jest ani arystokratą, ani demokratą, iż to podziały dobre są dla niedorostków i strażaków umysłowych i że całego życia być może mu nie starczy dla właściwego określenia siebie i poznania, czem właściwie jest, stado ogłasza go za infamisa. Ktokolwiek ma pojęcie o niezgłębionej tajemnicy, jaką jeszcze rzeczy ludzkie i społeczne dla wiedzy stanowią, rozumie, iż taką jest droga naturalna rozwoju umysłów wyższych. Ale w miarę tego, jak N. N. coraz bardziej się rozwija, w oczach stada, jest coraz bardziej skompromitowany, a gdy on wreszcie dochodzi do pełni swego rozwoju, tj. gdy charakter rasy wyższej i wtąpiącej w zupełności się zaznacza, stado ogłasza go za człowieka bez charakteru. Taką jest logika ślepoty, ale takim jest zarazem oręż, używamy przez tłum przeciw siłom, które mogłyby go kiedyś ujarzmić, aby je odrazu uczynić bezbronnemi.

Rozumiemy poniekąd konieczność takiego postępowania, ale nie przyjmujemy jego uzasadnienia. Dühring uległ ogólnemu losowi. Prześladowany, wypędzony z uniwersytetu, nie zraził się jednak. Przechodząc od jednej gałęzi wiedzy do drugiej, posiada prawie wszechstronną. Z takiem przygotowaniem przystąpił do badania literatury. Nie zgadzamy się ze wszystkimi jego poglądami, musimy jednak przyznać, iż takie właśnie przygotowanie jest niezbędne dla ujęcia odnośnej dziedziny zjawisk, które zwykle znajdują się w ręku jaknajpowierzchowniejszych bazgraczów.

W ostatniem swem studyum literackiem „Wielcy ludzie w literaturze" Dühring broni słusznej w zasadzie myśli, iż nowe narody, Niemcy, Słowianie, Szwedzi, nie zupełnie jeszcze zdołali wyrazić ducha swego w literaturze gdyż uginają się dotychczas pod jarzmem ideałów greckich, rzymskich i hebrajskich. Praca jego poświęcona jest ocenie utworów literackich z punktu widzenia „nowego piękna," autor bada, o ile w nich duch narodów nowożytnych mniej lub więcej jasno się wyraził. Dochodzi on do wniosku niepocieszającego, iż większość pisarzów znakomitych przedstawia raczej ideały i tradycye starożytne, niżli nowożytne, nie mówiąc już o tych, którzy jak Lessing, musieli odegrać rolę jeszcze niewdzięczniejszą, czysto burzycielską, niszczenia form odwiecznych.

Duch nowożytny wyraża się, z daniem Dühringa, w jego charakterze monistycznym i przyrodniczym, gdy natomiast starożytni hołdowali dualizmowi. Oddzielali oni duch od ciała, treść od formy, człowieka od sił działających w naturze i rządzących światem. Człowiek i natura mają u starożytnych pochodzenie rozmaite i znajdują się w sprzeczności bezustannej. Stąd obawa losu, niezgoda ducha i ciała, wiodąca z jednej strony do ascetyzmu, z drugiej do rozpusty Narody nowożytne spoglądają na człowieka, jako na zjawisko przyrodzone, podlegające ogólnym prawom natury. Nie wierzą one w przeznaczenie i rolę podrzędną jednostki, zależnej od gry ślepego trafu; nie wierzą, aby człowiek cierpieniami doczesnemi mógł zdobyć błogość niebieską. Nie przyznawając dualizmu, narody nowożytne spoglądają na śmierć, nie jako na karę losu, lecz jak na prawo naturalne życia; nie czują strachu przed światem nadzmysłowym, gdyż w niego nie wierzą. Nie są wrogami na-

tury, lecz jej dziećmi. Praca, na którą ona ich skazuje, nie jest przekleństwem, lecz koniecznością zrozumiałą. Nie istnieje dla nich zatarg pomiędzy duchem a ciałem, ale raczej harmonia; odrzucają więc i ascetyzm i rozpustę.

Różnica, tak ustanowiona, w głównych swych rysach jest słuszną, ale oczywiście, iż wymagałaby zaliczenia wieków średnich do starożytności, natomiast — Grecyi z epoki rozkwitu do czasów nowożytnych. Z drugiej strony, jeżeli w wierzeniach odbył się przewrót głęboki, to nie wypada z tego, aby prawda była raczej po stronie nowożytnych. Wobec współczesnych teoryj dziedziczności, wobec poglądów na jednostkę jako na atom agregatu społecznego, który we wszystkiem poddany jest prawom od niego niezależnym, nauka niewątpliwie bliższą jest starożytnej wiary w przeznaczenie, niż nowożytnych złudzeń wolności. Ale ponieważ literatura żyje złudzeniami, więc Dühring ma prawo zajmowania się tylko niemi. Nie mniej ważną różnicę wskazuje on w poglądach na rolę i położenie kobiety.

U starożytnych kobieta znajdowała się w poniżeniu, mężczyzna spoglądał na nią, jak na niewolnicę, teraz spogląda, jak na towarzyszkę i rezultatem tej zmiany położenia jest miłość, w naszem znaczeniu tego słowa, uczucie, którego starożytni nie znali. Miłość platoniczna Greków mogła istnieć między przedstawicielami tej samej płci, a najwyższy typ kobiecy starożytności Antygona, której Sofokles kładzie w usta wzniosłe wyrazy: „urodziłam się nie dla nienawiści, lecz dla miłości,“ ma na myśli przywiązanie braterskie. U Żydów jest ona słabością, przekleństwem lub pożarem czysto zmysłowym, jak w „Pieśni nad pieśniami,“ Dalila, Judyta; takie są typy kobiece, które nam daje literatura Żydów. Zupełnie inaczej, zdaniem Dühringa, przedstawia się miłość u narodów nowożytnych. Znajduje on tu wolność, zaufanie wzajemne i pełnię wszechstronną uczucia. Za przykład stawia „Romea i Julię“ Shakespeare'a, a najwyższy wyraz miłości nowożytnej znajduje słusznie w Shelley'u. Autor czyni tu następującą uwagę: „Jeżeli właściwości duchowe kobiece, stanowiąc w Shelley'u nienormalność, wydały w nim utwory potężne, to czemużby one nie mogły się zdobyć na objawy jeszcze wyższe, pozostając właściwością normalną kobiet.“ Natomiast pojęcia Goethego o miłość pozostały całkiem starożytne, pogańskie i samolubne, dlatego Dühring nie znajduje wyrazów dość silnych dla ich potępienia. Dziwna rzecz, iż podziela on natomiast poglądy Goethego na męczeństwo. „Wszelkie męczeństwo —“ powiada autor — jest nieszczęściem wymuszonem i dlatego wszelkie wyczekiwanie go lub wymaganie uważane być powinno, jako rodzaj przewrotności.“ Poglądy takie są poniekąd usprawiedliwieniem zarzutu, czynionego Dühringowi względem braku silnych charakterów, bo oczywiście nie nastąpiły jeszcze dla ludzkości czasy, gdy ona bez męczenników idei obejść się będzie mogła. I nie sądzimy także, aby pod względem piękna męczeństwo było tylko przeżytkiem starożytności, która w ten sposób miała ujarzmiać jednostkę i poświęcać ją interesom ogólnym, jak to krytyk twierdzi. I owszem, historya naszego wieku zawiera wiele stronic piękna niewysłowionego, które zawdzięcza właśnie męczennikom idei. I dlatego, jeżeli umysł wyższy przed wkroczeniem w życie czynne potrafi dobiedz do ostatecznej mety swego rozwoju, to wówczas wierność idei i przekonaniom, czyli moc charakteru, dochodząca do męczeństwa jest najwyższym i najpiękniejszym rozkwitem osobowości. Nietylko starożytność, ale i czasy nowożytne wspanialszych obrazów piękna dać nie mogą. Nie ukrywamy jednak przed sobą, iż szanse zdobycia tej równowagi są dla umysłów niższych daleko większe, niż dla wyższych. „Brak charakteru“ tych ostatnich może być często tylko dowodem wzrostu niedokończonego, natomiast „stałość przekonań“ pierwszych tylko — tępości umysłowej. Jednem słowem, należy być nadzwyczaj ogłędnym i ostrożnym w rozróżnianiu szczegółów tej w najwyższym stopniu powikłanej kwestyi.

W związku z powyższym, przedwczesnym poglądem na nieużyteczność męczeństwa, znajdujemy u Dühringa inny, iż dramat z czasem zupełnie zaniknie. Podstawą tragedyi starożytnej było cierpienie, miała ona na celu wzbudzać w widzach strach i współczucie. Ale w miarę tego, jak jednostka się wyzwala od ucisku, a społeczeństwo nie upatruje żadnej przyjemności w spoglądaniu na jej cierpienia, z dramatu coraz bardziej zanikają sceny krwawe i on coraz bardziej zamieniać się będzie na komedyę i operę liryczną. Trudno orzec, czy przepowiednia ta kiedykolwiek się ziści i o ile to byłoby pożądanem. Kto wie, czy spokojny, idylliczny rozwój społeczny, który leży w założeniu poglądów Dühringa, nie doprowadziłby do rozmnożenia zwierząt ludzkich przetłuszczonych i apatycznych. Dopóki nie mamy środków sztucznego doboru jednostek zdolniejszych, walka we wszystkich dziedzinach i na wszystkich polach jest nietylko złem koniecznem, ale zbawiennym huraganem, który strąca z drzewa ludzkości gałęzie zeschłe i owoce nadgniłe. A póki trwać będzie walka i cierpienie, póty trwać będzie strach i współczucie, inaczej mówiąc, dramat będzie miał racyę bytu, będzie koniecznem i zbawiennem uśmierzeniem ciosów, zadawanych przez walkę życiową — właśnie kulturą współczucia. Wprawdzie walki, przedstawiane przez dramat nowożytny, nie będą nosiły charakteru krwawego tragedyi starożytnej, są one jednak nie mniej dotkliwe i przewidywać szybkiego ich końca nie sposób. Pierwszym przedstawicielem piękna nowożytnego był, zdaniem Dühringa, Dante, jakkolwiek nazbyt jeszcze był przesiąknięty scholastyką średniowieczną. Następne miejsce zajmuje Cerwantes, który w Don-Kichocie wyjaśniał fantastyczność rycerską z punktu widzenia ludów nowożytnych, spoglądających na rzeczy trzeźwo i bezpośrednio. Shakespeare jest zupełnym ich wyrazicielem i z tego względu krytyk pozostawia go na tronie literatury wszechświatowej. Moliere zachowuje berło w komedyi, ze względu na ducha wolności i satyry, który u niego panuje. Dla tegoż powodu D. stawia Voltaire'a nadzwyczaj wysoko. Natomiast Goethego strąca z piedestału z powodu jego tendencyj pogańskich. Najzupełniejszy swój wyraz ideały nowożytne znalazły w Rousseau, Byronie i Shelley'u. Ten trzeci jest ostatnią gwiazdą pierwszorzędnej wielkości, którą Dühring przyznaje. Poetów, jak Heine lub Ibsen, uważa za wskrzesicieli tradycyi starożytności. U Ibsena krytyk wykazuje wiarę w dziedziczność grzechu i przekleństwa... Krytyka Dühringa jest jednostronną, ale, przyjąwszy pod uwagę jej punkt wyjścia — ideały nowożytne — słuszną. Inna kwestya, czy ten miernik wyczerpuje zadania krytyki. Otóż ideały społeczne są tylko jednym czynnikiem składowym literatury, która je wyraża. Ale innym jej składnikiem i może bardziej zasadniczym są siły czysto żywiołowe, rasowe, których Dühring bynajmniej nie uwzględnił. Obok „Piękna nowożytnego“ powinna krytyka badać „Piękno ogólnoludzkie.“ Tak rozpatrywana literatura daje wnioski zupełnie odrębne, często sprzeczne z powyższymi. Z tego punktu widzenia taki Goethe lub Heine znaleźliby się na pierwszem miejscu. W takiej analizie wystąpiłyby na jaw zatargi pomiędzy poetą a społeczeństwem, gdy D. rozpatruje tylko ich harmonię. Gdyby posągi poetów, zdobiących place stolic europejskich, mogły przemówić, odezwałyby się napewno długo tłumionym, szyderczym śmiechem, w odpowiedzi na uwielbienie i kadzidła, których ludzkość nie oszczędzi swym geniuszom po ich śmierci, gdy za życia szczuła ich zawiścią i oszczerstwem lub kazała umierać z głodu.

Dr. L. Winiarski.

NOWOCZESNY SAWONAROLA.

(Luźne uwagi).

I.

Nietylko człowiek, posiadający władzę, budzi strach. Nietylko pan życia i śmierci wywołuje poszanowanie dla swoich kaprysów. Istnieje pewnego rodzaju potęga, która nie posiadając żadnej mocy rozkazu, obezwładnia i budzi szacunek dla swoich wybryków. A potęga ta wywiera swój wpływ nie na niewykształconych i ciemnych, nie na prostaków i bezmyślnych, lecz właśnie na tych, którzy uważają się za „sól ziemi“ — na inteligentne i wykształcone tłumy. Tą paraliżującą potęgą, która oniemiela poniekąd wybranych — jest „uznany talent.“

Wszakże nikt wątpić nie będzie, że współczesna prasa rosyjska posiada sporą ilość umysłów wytrawnych, krytycznych talentów, piór ciętych i dzielnych. Bezlitosna ostrość krytyki rosyjskiej w sprawozdaniach literackich i teatralnych wywoływała nieraz moje zdziwienie. Na szpaltach gazet zrzadka zaledwie napotkać można tu okruszynkę pochwały. Natomiast szyderstwo nad niezręcznym wzlotem niewyrobionych skrzydeł, odbierające chęć do nowych prób, jest niemal na porządku dziennym. Wobec tej surowej kontroli krytyków, walczących bądź w zwartych szeregach, bądź w rozsypce po partyzancku, zda się, żaden zamach na twierdzę zdrowego rozsądku, żaden napad na skarby kultury nie ujdzie bezkarnie.

Tymczasem niedawno na półkach księgarskich zjawiło się dzieło, którego treść, znajdująca się w ostrej sprzeczności ze wszystkiem, co dzisiejszy inteligentny tłum uważa za piękne, słuszne i prawdziwe — w zwykłym porządku rzeczy powinna była wywołać energiczne oparcie. A przecie dziełko to u miejscowych Jowiszów dziennikarskich napotkało nader łagodną ocenę: pioruny, zazwyczaj używane tak rozrzutnie, schowano do kieszeni; energiczną argumentacyę zastąpiono lękliwą krytyką półgębkiem; zamiast druzgocących młotów puszczono w ruch delikatne szpileczki; szyderczy śmiech zreformowano na niepewny uśmieszek; a niewielką ilość słów nagany zaperfumowano zachwytem dla kilku zdrowych i trafnych myśli, znajdujących się w pomienionem dziele.

Traktat filozoficzny, zawierający dziesięć razy więcej myśli głębokich i dziesięć razy mniej szkodliwych bredni, niż dzieło, które mam tu na myśli, zasługiwałby jeszcze, mojem zdaniem, na ostry rozbiór i w zwykłym porządku rzeczy z pewnością byłby poszarpany przez tutejszych krytyków na strzępy. A jednak traktat filozoficzny p. t. „Co to jest sztuka?“ (Czto takoje iskusstwo?) uniknął naturalnego swego losu: zamknięto oczy na jaskrawe jego błędy i wydłubano z pietyzmu ziarna trafnej myśli. W rezultacie ciernie krytyki zawinięto w świeży laurowy listek i wpleciono go do wieńca autora.

Jest-że w tem obłęd sądu krytycznego? Może dziwaczna pomyłka? Nie sądzę. Zdaje mi się, że to wpływ owej paraliżującej potęgi, o której wspomniałem na wstępie. Jest to panika przysięgłych krytyków wobec aureoli wielkiego, uznanego imienia.

Wszystko staje się naraz jasnem, gdy zaznaczymy, że na czele pomienionego wyżej traktatu błyszczy świetne imię hr. Lwa Tołstoja.

Wielki człowiek, głośny z dzieł swoich i ze szlachetnej oryginalności swego życia, autor „Wojny i pokoju“ i „Anny Kareniny,“ znakomity artysta, który niezmiernie wzbogacił skarbiec literatury narodowej, subtelny znawca duszy ludzkiej, niezmordowany pracownik i poszukiwacz prawdy, niewątpliwie zasługujący na głębokie uznanie ze strony ziomków—mocą swojego talentu stał się czemś niemal nietykalnem dla ogółu krytyków. Dziś, kiedy niszcząca potęga czasu rozkładowo podziałała na ten ongi świetny umysł, kiedy wielki artysta, wypierając się całej swojej minionej działalności, gwałtem chce wejść w rolę filozofa i moralisty, kiedy w tej roli błądzi i potyka się — wywołuje jeszcze siłą dawnego wpływu poszanowanie dla błędów swojej myśli, napotyka na odpór nieśmiały i lękliwy, na delikatne zaprzeczenia, pospiesznie zakrywane pochwałami.

A tymczasem bezstronna, zimna krytyka w danym wypadku jest właśnie koniecznością nieodzowną. Poważanie dla wieku, pamięć na minione olbrzymie zasługi, uwielbienie dla dzieł talentu nie mogą bynajmniej usprawiedliwić łagodnej oceny szkodliwego błędu. Rozumna buchhalterya społeczna nie pozwala zapisywać długów na stronę kredytu tylko dlatego, że w kredycie już figurują wielkie sumy. Postępowanie tego rodzaju musi dać w rezultacie fałszywy bilans i pociągnąć nieobliczone szkody w rozwoju myśli społecznej.

Ostatnia książka Tołstoja jest, mojem zdaniem, pełna szkodliwych błędów i z wielu względów niebezpieczna. Nie mamy nic przeciwko temu, że zjawiła się ona, gdyż każda myśl ma prawo wypowiedzieć się. Owszem, wartość tej książki może być wielką, gdyż powinna ona wywołać pewien ruch myśli i zmusić do wypróbowania i sprawdzenia pewnych zasad i twierdzeń, które powtarzamy już nieco na wiarę, bez dostatecznego uświadomienia sobie ich istoty wewnętrznej, skutkiem czego słuszne myśli, być może, pokryły się grubo fałszem. Ale odrzucenie owego nalotu możliwem jest tylko w tym wypadku, gdy nastąpi starcie poważne, w pełnym rynsztunku bojowym z obu stron, gdy krytyka nie cofnie się lękliwie przed blaskiem wielkiego imienia, gdy nie uchyli głowy przed mniemanym autorytetem. Inaczej zagraża nam gorsze zaćmienie, niż to, w którem możemy przebywać obecnie. Sceptyczna analiza pisarza rosyjskiego, obalająca zasady uznane i powagi Zachodu, może dać nawet rezultaty dodatnie, ale tylko w tym wypadku, jeżeli zachowamy się wobec tej analizy równie sceptycznie i na miejsce zdruzgotanych bożyszcz nie postawimy ślepo nowego — w postaci hr. Tołstoja.

Ażeby czytelnik odrazu zdał sobie sprawę z tego, jakie to „nowe prawdy“ odkrył światu Lew Tołstoj, podaję na próbę kilka cytat:

Na str. 166 swojego obszernego traktatu piętnuje on krytyków, „którzy ośmielili się „wychwalać w naszych czasach nieociosane („grubyja“), dzikie i częstokroć bezmyślne utwory starożytnych Greków: Sofoklesa, Eurypidesa, Eschylosa, osobliwie zaś Arystofanesa, albo nowych: Dantu, Tassu, Miltona, *Szekspira*.“ Tuż zaraz ubolewa nad tem, że w literaturze dzięki tym właśnie bezmyślnym krytykom okazało się możliwem wystąpienie Ibsenów itp., a w muzyce Lisztów, Berliosów itd. „najzupełniej niepotrzebnych“ pisarzy i muzyków.

Na str. 236 cj jako dowód bezzasadności stawiania pomników poetom, Tołstoj przytacza fakt, że po rozejściu się śród ludu tanich wydawnictw dzieł Puszkina, „więcej, niż dziesięciu chłopów z różnych stron napisało do niego listy z zapytaniem, czemu to tak wywyższono Puszkina.“ „Nawet w tych dniach — dodaje — przychodził do mnie pewien umiejący czytać (gramotnyj) mieszczanin z Saratowa, który najwidoczniej aż obłąkał się na tej myśli, i zapowiedział mi, że podąża do Moskwy skarżyć duchowieństwo, iż przyjęło udział w postawieniu „monamentu“ panu Puszkinowi“ I rzeczywiście, zdaniem Tołstoja, prosty lud musi się przerazić, słysząc, że „duchowieństwo, wyżsi urzędnicy, wszyscy najlepsi mężowie Rosyi stawiają pomnik wielkiemu człowiekowi, dobroczyńcy i chwale Rosyi — Puszkinowi,“ skoro dowiaduje się, że ów Puszkin „nie był ani bohaterem, ani świętym,“ ale „pisarzem więcej, niż lekkich obyczajów, który zmarł w pojedynku, tj. przy usiłowaniu zabójstwa drugiego człowieka, i który położył tylko tę zasługę, że pisał wierszyki o miłości, częstokroć nader nieprzyzwoite.“

W innem miejscu Tołstoj wzdryga się na to, że nasza kłamliwa rzeźba zajmuje się przeważnie wykuwaniem z marmuru nagiego ciała, to jest „tego, co przyzwoitość nakazuje nam okrywać!“

Rozdzielając sztukę według treści na dobrą i na złą, sądzi on, że zła sztuka powinna być tępioną bez litości. Za dobrą zaś uważa tylko tę, która „odbija religijną świadomość narodu.“

Za miernik sztuki, zdaniem Tołstoja, nie może być brany wyrobiony i wykwintny smak wykształconego człowieka, tj. „coś nieokreślonego zupełnie,“ ale „zdrowy instynkt niezepsutego moralnie wiejskiego robotnika, który nieomylnie odróżni prawdziwą sztukę od nieprawdziwej, jak zwierzę instynktem odróżnia pożywne ziele od jadowitego.“ Ten instynkt ma już być czemś zupełnie określonem!

Jako wzór arcydzieła sztuki literackiej postawił Tołstoj biblijną historyę Józefa, syna Jakóba.

W ostatecznej konkluzyi mniema (str. 243), że „gdyby postawiono kwestyę, co byłoby lepszem dla naszego chrześciańskiego świata: czy postradać *wszystko* to, co teraz zowie się sztuką, tj. *wraz* z fałszywą sztuką, *całą* dobrą, *każdy rozumny i moralny człowiek* znowu rozstrzygnąłby tę kwestyę tak, jak rozstrzygał ją Plato dla swojej respubliki i jak rozstrzygali ją wszyscy kościelni chrześciańscy i mahometańscy nauczyciele ludzkości, tj. powiedziałby: lepiej niechajby nie było żadnej sztuki, aniżeli miałaby trwać nadal ta demoralizująca i karykatura jej, które istnieją obecnie...“

I oto przed oczyma mojemi zarysowywa się niepokalająca postać nowoczesnego Savonaroli. Gdyby ten siwobrody, imponujący starzec, z muskularnemi rękoma, z oczyma, miotającemi błyskawice z pod krzaczastych brwi, przemawiał z kazalnicy do tłumów, jak ów namiętny i ciemny mnich, do jego stóp zniesionoby poszarpane arcydzieła sztuki, kawałki porozbijanych za jego wpływem posągów, strzępy obrazów, spopielone utwory poetów, a pomiędzy innemi i znakomite powieści samego Tołstoja, napiętnowane przez autora w jego traktacie mianem „złej sztuki!“ W każdym, kto przywykł kochać i szanować arcydzieła ludzkiej myśli, musi burzyć się krew na myśl o zniszczeniu tych skarbów, upiększających i bogacących życie niemniej od cudów natury, i dlatego to nie znalazłem na wstępie dość słów na napiętnowanie nieśmiałej i zająkliwej krytyki, która tak spokojnie zachowała się wobec burzących skarby kultury rozpraw Tołstoja i nie pokusiła się o zażegnanie zjawiającego się na schyłku XIX stulecia ducha Savonaroli, wołającego ludzkość wstecz.

Ale może spokój krytyków daje się wyjaśnić bezzasadnością obaw malowanego przeze mnie niebezpieczeństwa? Może, zdaniem krytyków, kapryśny wybryk Tołstoja przebrzmi bez echa i bez wpływu? Toć on nie przemawia z kazalnicy do ciemnych tłumów, ale pisze i drukuje swoje książki dla ludzi inteligentnych, którzy nie dadzą się porwać przez błędne jego zapatrywania. Może nie warto tracić sił na zbijanie jawnych bredni?

Niestety, zdaniem naszem, rzeczy stoją wprost odwrotnie. Niebezpieczeństwo jest widoczne i niezmierne i wymaga energicznej obrony. A oto dlaczego.

L. Belmont.

MALARSTWO.

Uhde, Hilser, Zimmermann. — Trębacz, Cercha, Stetka.

Panu Krywultowi należy się czasami wdzięczność. Jego Salon staje się okienkiem, przez które wpada do nas niekiedy promień sztuki europejskiej. I bylibyśmy mu obowiązani zawsze za każdy nowy utwór, gdyby p. K. nie miał szczególnej jakiejś słabości do płócien, których powierzchnia mierzy się znaczną liczbą metrów kwadratowych. Te nieszczęsne „metry kwadratowe“ wywierają nań wpływ magiczny; tem sobie tłomaczyć można powody, które go skłaniają do wystawiania obrazów, zdumiewających swą wielkością i swoją... nędzą. Ile razy na takie „potwory“ patrzę, przypominam sobie woźnego z pałacu w Wersalu, który, oprowadzając turystów po siedzibie Ludwika XIV, pokazuje przedewszystkiem *„najdłuższy* obraz na świecie“ (pędzla H. Verneta). Ale, jak się rzekło, bywamy czasem panu Krywultowi wdzięczni. Oto teraz np. pokazał nam prawdziwie piękne dzieło: „Złożenie do grobu“ F. Uhdego.

Uhde cieszy się już oddawna sławą nietylko w Niemczech, lecz i w świecie całym. Maluje obrazy religijne i pomimo że ma tu rywali w geniuszach artystycznych wszystkich czasów i wszelkich krajów, potrafił zająć stanowisko odrębne i pozostać nawskroś oryginalnym. Chrystusa, apostołów i świętych przenosi w czasy współczesne, każe im żyć i działać śród nas. Sam ten pomysł nowym nie jest: malowali tak i mistrzowie Odrodzenia, i Rembrandt, z którym go łączy wielkie pokrewieństwo duchowe. Lecz Uhde wyczuł tętno czasu. Pojmuje on, że dziś miejsce Zbawicielowi nie na dworach magnackich, jak to sądzili artyści z epoki Renesansu, nie w celach klasztornych, lecz tam, kędy ma siedlisko największy ból, największa nędza, najcięższa praca. I Uhde wprowadza Chrystusa do izb robotniczych („Jünger zu Emmaus“) i twardym, spracowanym dłoniom każe do grobu składać święte zwłoki („Złożenie do grobu“). Hołduje on realizmowi, nawet powiedzielibyśmy — naturalizmowi czystej wody, gdyby nie to, że ten ostatni kierunek — zupełnie fałszywie — stał się równoznacznym z pornografią.

Jeśli przedstawia trupa, to już prawdziwego, sinego, przerażającego swą martwotą; takim jest Chrystus w obrazie, który oglądamy obecnie na wystawie. Chyba nie istnieje w sztuce mniej wyidealizowana i jednocześnie bardziej wstrząsająca głowa Odkupiciela. Znać, że w mę-

kach przedśmiertnych wykrzywił ją ból nie tyle własny, ile ten — co targa piersią milionów. I oto garstka wiernych' przed chwilą, zda się, oderwanych od młota i maszyn, okopconych, spracowanych, niesie do grobu zwłoki swego jedynego pocieszyciela na ziemi. Niosą smutni, poważni, spokojni, bo głęboko wierzący w obietnicę zmartwychwstania. Patrząc na te surowe, pełne rezygnacyi twarze, mimowoli powtarzamy za Słowackim: „Z taką więc ciszą i taką powagą wejdziemy kiedyś w elizejskie bory.“ Zasługą Uhdego jest jeszcze to, że potrafi wywołać silne wrażenie, nie uciekając się do żadnych sztuczek i efektów malarskich; jest prosty aż do zaniedbania. Nie dba o miękość draperyj, o wdzięk układu, nawet niewiele sobie robi, przynajmniej w „Złożeniu do grobu,“ z perspektywy powietrznej; na obrazie panuje wprost tłok.

Nie wytrzymał jednak p. Krywult; musiał dać folgę swej namiętności i powiesił naprzeciw Uhdego „wielometrowe“ płótno Hilsera. W tem jednem określeniu mieści się właściwie całkowite sprawozdanie o „Sardanapalu“; jest on potworny wielkością i potworny swoją nędzą. Próżno szukalibyśmy w tym płonącym pałacu jakiegoś przedśmiertnego rozkiełznania zmysłów, jakiegoś przeraźliwego strachu śmierci. Jest tam bachanalia bez szału, orgia — bez namiętności, przerażenie — bez strachu i rozpaczy. Śród tej masy nagich kształtów niewieścich, misternie rzeźbionych z mydła, celuloidu i papiermaché, niema ani jednego żywego ciała ludzkiego, jak niema prawdy ani życia w draperyach, dywanach, marmurach. Całkowitą, śmiesznie małą w stosunku do wielkości dzieła siłę, na jaką się mógł zdobyć, artysta wlał w twarz Sardanapala. Lecz i ta grozi tylko niewidzialnemu wrogowi i nie jest w stanie upić się raz jeszcze przed śmiercią — rozkoszą. To nie Sienkiewiczowski Petroniusz...

O ile silniej i ponętniej przykuwa oko widza niewielki obraz Zimmermanna „W ucieczce do Egiptu.“ Na polance leśnej usiadła tchnąca bardziej wdziękiem ziemskim, niż słodyczą niebieską Bogarodzica z Dzieciątkiem na ręku. Św. Józef pochylił się nad Jezusem, podając mu jabłko, do którego dziecię bojaźliwie wyciąga rączkę. Twarz świętego odzywa się echem dalekiem płócien Murilla; szkoda, że artysta nie nauczył się od tegoż mistrza, jak Dzieciątko Jezus malować należy. Jego Chrystus, chociaż powinien być środkiem obrazu, jest za blady, za niewyraźny...

Tyle o naszych zagranicznych gościach. A jak wyglądają swojscy malarze w Salonie Krywulta? Niestety, jak zwykle, nie bogato. Zaledwie kilka nazwisk i kilka płócien pozostaje w pamięci po przeglądzie. W. Pawliszak wystąpił z kilku motywami wschodnimi. Już to przyznać należy, że mało kto maluje tak Wschód, jak on. Znać, że artysta bardzo go ukochał i głęboko odczuł całą jego szeroką, nieokiełznaną siłę i fantazyę Ma jednak dwie wady: za silnie lubi kolorki, szczególnie fiolet, którym pstrzy nawet zady końskie i twarze tatarskie, i niepotrzebnie... bierze się do malowania „aktu,“ do którego wprost brak mu talentu; jego ciała nagie — to drewniane, cielistego koloru manekiny i nic więcej.

Z długiego snu ocknął się p. M. Trębacz. Przyznać wypada, że się smutno robiło w ostatnich czasach, gdy patrzyliśmy na te mdłe bonbonierkowe i buduarowe obrazki, malowane przez tak zdolnego artystę. Teraz przypomniał sobie Trębacz lepsze czasy: znać to i z doskonałego „Fragmentu“ (zdaje się, że z większej całości) i z „Ulubienicy.“ W tym ostatnim obrazie wprowadził nas, prawda, znów do buduaru, lecz po to, aby pokazać bardzo żywy i bardzo ładny kształt niewieści. Kilka takich kobiet może uratowałoby sytuacyę w „Sardanapalu.“

Należy się jeszcze wzmianka dwu świeżym nazwiskom. St. Cercha wystąpił z trzema bardzo dobrymi portretami, z których pana N. jest dziełem sztuki w szlachetnym stylu. P. Stetka (którego nazwisko spotykamy, zdaje się, po raz pierwszy) wystawił bardzo ładną, bynajmniej nietuzinkową „Serenadę.“ Poprawny rysunek, doskonały wyraz i charakterystyka twarzy, sumienność w wykonaniu, wreszcie to nieuchwytne „coś,“ co wskazuje, że w obrazku tkwi cząstka duszy twórcy, znamionują artystę szczerego. Prawda, wieje z płótna ciche tchnienie wspomnień Meissonierowskich, lecz taki wybór wzoru, o ile p. Stetka jest początkującym, można mu poczytać za zasługę. Jeśli „Serenada“ jest rzeczywiście jedną z pierwszych jego prac, to mu tego debiutu szczerze powinszować należy.

Michał Mutermilch.

SPRAWY EKONOMICZNE

TRADE-UNIONIZM.

II.

Okres czasu od 1799 do 1824 r. był dla trade-unionów nieustanną ciężką walką o prawo bytu, obfitującą w bogatą kronikę męczeńską. Pod wrażeniem W. Rewolucyi francuskiej, a jeszcze bardziej z powodu wstrętu do płac wysokich, klasy panujące w Anglii z trwogą spoglądały na każdą próbę związku wśród ludu pospolitego. Prawa przeciw koalicyom uznano były za absolutnie niezbędne w interesie przemysłu i handlu narodowego; najcięższe kary i prześladowania najemników za próby podniesienia zarobku nie wywoływały głośnego protestu. Oskarżeni rzadko mogli się bronić w odpowiedni sposób, nigdy zaś nie mogli liczyć na sprawiedliwość swych sędziów. Wprawdzie kapitalizm ówczesny nie był jeszcze uzbrojony we wszystkie środki dzisiejszego policyjno-militarnego państwa europejskiego, lecz brak policyi i oskarżycieli z urzędu starali się zastąpić sami przedsiębiorcy, śledząc związkowców i oddając ich pod sąd, w imię interesów narodowych. Jeżeli zaś tu i owdzie patrzyli przez palce na związki swych pracowników, trwało to tylko dopóty, aż ci ostatni zaczęli żądać lepszych warunków; wtedy przedsiębiorca, pewny swych praw, zwracał się do sądów. Jak wielką była drapieżność sędziów, świadczą ich przezwiska popularne. Sędzia, który 1810 r. w nieludzki sposób pastwił się nad drukarzami gazety *Times*, znany był pod nazwą „Krwiożerczego czarnego Jakóba“ (*Bloody Black Jack*). Każda próba podniesienia zarobków, polepszenia warunków pracy lub dźwignięcia stanowiska pracowników w społeczeństwie, uważaną była nietylko za wykroczenie prawne, lecz przez wielu sędziów poczytywaną za zamach na rząd i państwo angielskie.

W tym okresie należy wyróżnić uzdolnionych pracowników pewnych gałęzi przemysłu, którzy od dawien dawna mieli wyższe zarobki, lepsze stanowisko i wykształcenie, oraz czuli się mniej zagrożonymi współzawodnictwem najemników prostych, pracy kobiet i dzieci. Ich też związki zdołały się utrzymać tajemnie, pomimo prześladowań i stanowiły silny punkt oparcia dla późniejszego rozwoju trade-unionów. Skutkiem prześladowań było zwiększenie dyscypliny w ich szeregach i zupełne zaufanie, pokładane przez wszystkich w kilku lub jednej osobie wypróbowanej.

Z drugiej strony szybkie zmiany w metodach produkcyi, zastąpienie pracowników dorosłych przez kobiety i dzieci w produkcyi maszynowej, zepchęły masy narodu do poziomu niesłychanej nędzy. Sprawozdania komisyj parlamentarnych przepełnione są od 1800 r. obrazami straszliwej nędzy. „Cierpienia pracowników manufaktur bawełnianych — pisał Franciszek Place — przechodzą wszelkie pojęcie; wciągani do związków, zdradzani, prześladowani, oskarżani i wreszcie skazywani na okropne kary, zepchnięci zostali do najnędzniejszego istnienia i w niem siłą utrzymani.“ Ich zarobkodawcy nie byli to majstrowie rękodzieł, którzy sami przeszedłszy koleje życia terminatora i czeladnika, mieli poniekąd wyrozumienie dla potrzeb swych pracowników, lecz przedsiębiorcy kapitalistyczni, mający na widoku wyłącznie stronę handlową i zyski, szukający na rynku towarowym najtańszych sił roboczych. Potrącania z zarobków, kary za niewypełnianie despotycznych prawideł regulaminu wewnętrznego, weszły w powszechne użycie. Wreszcie „nie brakło też wypadków strasznej tyranii i bezlitosnego okrucieństwa.“ Rezultatem takiego stanu były krótkotrwałe związki, częste bezrobocia i, co gorsza, zjawiło się dziecko prześladowań — rozpacz, która wyładowywała się w rujnowaniu maszyn itp. objawach. Warunki te doprawadziły do składania owych strasznych przysięg i powstania obyczajów mistycznych, towarzyszących jeszcze długo potem ceremoniom przy tworzeniu związków lub przyjmowaniu członków do nich.

I oto pomimo gwałtownych różnic, jakie przedtem istniały pomiędzy uzdolnionymi rękodzielnikami a pracownikami prostymi, całą masę najemników wszystkich stopni ogarnia w tym okresie coraz większe poczucie solidarności. Dzięki temu, wiele związków zdołało się utrzymać przy życiu i działać dość skutecznie. W niektórych wypadkach spotykamy się nawet z organizacyami narodowemi i lokalnemi ich rozgałęzieniami, tudzież roczne kongresy delegatów, jak np. drukarzy perkalu, których w 1818 r. w Boltonie policya aresztowała. Dla scharakteryzowania ich działalności dość będzie przytoczyć przykład, jaki nam dają powroźnicy z Liverpoolu w r. 1823. „Gdy pewna firma spróbowała nająć prostych robotników, otrzymała zawiadomienie od miejscowego związku powroźników, „że to sprzeciwia się zwyczajom fachu“ i związek odciągnął wszystkich swych członków od tej firmy. Przedsiębiorcy, którym nie udało się znaleźć powroźników w Liverpoolu, posłali do Hull i Newcastle; okazało się jednak, że związek powroźników uprzedził już o tem miejscowe swego fachu w tych miastach. Firma sprowadziła tedy „murzynów“ (tak nazywano ludzi, gotowych za byle co nająć się do pracy) z Glasgowa, ci jednak podczas swego przybycia na miejsce zostali przez związkowców zaprowadzeni do klubu związkowego, gdzie zapomocą gróźb i obietnic naprzemian dali się nakłonić do porzucenia swych zobowiązań... Szef tejże firmy udaje się do Londynu, aby tam poczynić zamówienia przędzy; gdy jednak pracownicy angielscy dowiedzieli się, że przędza przeznaczona jest dla przedsiębiorstwa bojkotowanego, odmówili wykonania obstalunku.“

Jak widzimy, solidarność nie poprzestała na członkach jednego i tego samego fachu. Majstrowie skarżyli się ustawicznie, że jeden fach pomaga drugiemu; stare książki rachunkowe trade-unionów wykazują w tym okresie zapisy wydatków na pomoc walczącym w innych fachach

tegoż samego miasta lub gdzieindziej. Prześladowania i srogie kary, wymierzane związkowcom, nie ustawały jednak nigdy, przeciwnie, od czasu do czasu przybierały iście barbarzyńskie rozmiary, aż wreszcie w radykalniejszej części mieszczaństwa i polityków powstaje agitacya na rzecz odwołania praw przeciw koalicyom. Najważniejsza zasługa w tej agitacyi była po stronie Fr. Place'a, byłego czeladnika krawieckiego, ucznia Benthama i Jamesa Milla. Zostawszy właścicielem magazynu, Place przekonał się na własnej skórze, że żadne prawa przeciw koalicyom nie zdołały zapobiedz bezrobociom i tworzeniu związków; doświadczenie to pchnęło go do agitacyi w tej nadziei, że z chwilą ogłoszenia swobody koalicyj ustaną wszelkie bezrobocia i zapanuje zupełna harmonia między pracą a kapitałem. Przedstawiciele związkowców obdarzyli go swem zaufaniem i poparciem. Stworzona przez parlament komisya powzięła rezolucyę na korzyść zupełnej swobody związków. Dzięki zręcznej agitacyi Place'a i jego przyjaciół w parlamencie, prawo znoszące wszystkie poprzednie zakazy i przyznające związkom fachowym istnienie legalne, zostało szybko przeforsowane i przyjęte przez obie Izby w 1824 r., ku zdumieniu wielkiemu świata przedsiębiorców. Tak zakończyła się pierwsza walka o byt; w następnym zaś roku na nowo ją podjęto, lecz tym razem w lepszych już warunkach.

Przedsiębiorcy tak byli przekonani o naturalności i konieczności ustaw przeciw koalicyom, że nie wierzyli w możliwość ich zniesienia i niewiele uwagi zwracali na działalność Place'a. Otrząsnąwszy się z pierwszego popłochu, rozpoczęli teraz ze swej strony agitacyę przeciw prawu z 1824 r. Po chwilowym tryumfie związkom zaczęła grozić silna reakcya i powrót do dawnego stanu.

Parlament, dając chętne ucho narzekaniom przedsiębiorców, wybrał w 1825 r. z łona swego nową komisyę, nieprzyjaźnie usposobioną względem związków. Związkowcy wystąpili z wielką energią przeciw machinacyom reakcyjnym, komisya i parlament otrzymywały niezliczone petycye z masami podpisów przeciw odwołaniu prawa z 1824 r. Członkowie komisyi parlamentarnej mieli z początku zamiar wysłuchać wyłącznie dowodów przedsiębiorców, lecz pod wpływem agitacyi musieli przesłuchiwać i przedstawicieli pracowników, skutkiem czego polecili parlamentowi projekt, który nominalnie przywracał ogólny zakaz tworzenia związków, lecz wyraźnie wykluczał takie, które miały na celu regulowanie płac i godzin pracy. Była to porażka przedsiębiorców, których wysiłki doprowadziły jednak do pewnych zmian w projekcie komisyi i w ten sposób ukazało się nowe prawo w r. 1825, gorsze od poprzedniego, lecz wogóle dające związkom pewną swobodę ruchów. Mianowicie przyznano im prawo zbiorowego traktowania z przedsiębiorcami i jakkolwiek wiele walk należało jeszcze stoczyć w celu zapewnienia związkom zupełnej swobody, dotąd jednak rząd angielski nie uczynił już żadnej otwartej próby zniesienia tego pierwszego i najgłówniejszego warunku działalności fachowo-związkowej.

Bezpośrednim skutkiem praw 1824—1825 r. było szybkie rozmnożenie się liczby związków i ich działalności organizacyjnej. Powstają projekty opłatania całego kraju siecią związków i federacyj. Ogólnemu ożywieniu w ich szeregach towarzyszą niebotyczne nadzieje, ale koniec 1825 r. sprowadził powszechne przesilenie przemysłowo-handlowe, które spadłszy jak piorun z jasnego nieba, nietylko zniweczyło wszystkie błogie nadzieje, pokładane w związkach, lecz zadało im nadto nieobliczone straty. Zastój przemysłowy sprowadził powszechny i tak nizki spadek płac, że najliczniejsze trade-uniony na to poradzić nie mogły. Niezliczone bezrobocia nie odnosiły żadnego skutku, wyczerpywały tylko kasy związkowe i pomoc publiczności sympatyzującej, a tam, gdzie przedsiębiorcy nie mogli przełamać ich oporu, woleli fabryki zupełnie zamknąć, bo odbytu i tak nie było. W jednym i drugim wypadku skutek ten sam: straszna nędza, ale obok niej i bogata nauka, że przyczyny złego nie tkwią tylko w braku związków, lecz głębiej. I oto dla związkowców angielskich zaczyna się nowy okres: dążenia kolektywnego i wystąpienia na scenę publiczną Roberta Owena. Okres ten trwał mniej więcej od r. 1829 do 1842.

(C. d. n.).

W DALI.

Żyrardów. Do *Kur. Warsz.* piszą: „Osada Żyrardów w pow. Błońskim w chwili obecnej liczy 30,000 ludności, z której około 9,000 robotników, pochodzących z różnych miejscowości Królestwa Polskiego. Osadą zarządza na miejscu wójt gminy, służbę zaś policyjną pełni tylko 6-ciu strażników ziemskich, którzy z niemałą trudnością poradzą się z włożonymi na nich obowiązkami. Ciężar zaś tej pracy powiększa jeszcze okoliczność, że zarząd policyjny znajduje się w odległym o wiorst 19 Grodzisku. Oddalenie jego od punktu tak ludnego, jak Żyrardów, jest także bardzo uciążliwe dla samej ludności osady, zmuszonej udawać się z najmniejszą drobnostką w różnych sprawach aż do Grodziska. Byłoby pożądanem przeniesienie zarządu straży ziemskiej wraz z jej naczelnikiem z Grodziska do Żyrardowa, tem bardziej, że o wiorst 6 od tej osady położone są ludne Wiskitki, liczące 5,000 ludności, o 9 wiorst Mszczonów z 6,000 ludności, gdzie trzy gminy i miasto obsługiwane są tylko przez 3-ch strażników ziemskich, a o 9 wiorst osada Radziejowice z cegielniami, w których pracuje więcej, niż 2,000 robotników; bez żadnego nadzoru wreszcie jest jeszcze przystanek Jaktorów. Możliwie szybkie przeniesienie siedziby straży ziemskiej z Grodziska do Żyrardowa jest tem potrzebniejsze, że w porze obecnej w miejscowościach, otaczających Żyrardów, mieszka mnóstwo Warszawian na letnich siedzibach. O ile się zdaje, władze wyższe miejscowe nie miałyby nic przeciwko temu; potrzebna jest tylko skuteczna inicyatywa ze strony zainteresowanych.

Petersburg. W zeszycie czerwcowym *Wiest. Jewropy* polemizuje z *Mosk. Wied.* z powodu artykułów dziennika moskiewskiego o „radzie" przy generał-gubernatorze warszawskim. Komentarze dziennika moskiewskiego, zmieniają najprostsze pojęcia, przechodząc przez pryzmat ciasnej tendencyi. Rzeczą jest całkiem jasną, iż, po pierwsze, rada utworzona z mocy prawa z d. 30-go marca, zasadniczo się różni od rozmów gubernatorów lub generał-gubernatorów z temi lub innemi osobami urzędowymi albo prywatnemi. Gdyby cała różnica sprowadzała się do tego, iż w Królestwie Polskiem administracya powinna, nawet w drobiazgach, zachowywać powściągliwość i przezorność, w takim razie na urządzenie rozmów dość byłoby wyjednać pozwolenie wyższej władzy centralnej; do skierowywania sprawy na drogę prawodawczą nie byłoby wówczas najmniejszej podstawy. Rada, powołana z mocy prawa, jest *instytucyą*, która nietylko może, ale i *powinna* działać; do generał-gubernatora należy wybór spraw, przedstawianych radzie. Jeżeli nie według litery prawa, to według jego myśli, żadna sprawa *ważna* nie może być decydowana bez uprzedniego rozważenia przez radę. Z góry też przewidzianym jest, przynajmniej w części, także i *skład* jej, do udziału *powinni* być powoływani wszyscy urzędnicy, wymienieni w prawie z d. 30-go marca. Okoliczność ta również przeprowadza wyraźną różnicę pomiędzy radą a temi rozmowami prywatnemi lub wypytywaniami, z któremi dziennik moskiewski sili się ją zrównać. Rozmowy prywatne mogą po sobie najmniejszego śladu nie pozostawić; opinie zaś, wyprowadzane przez członków rady, przeciwnie, będą zapisywane i zachowywane (czynności kancelaryjne rady prawo powierza kancelaryi generał-gubernatora). Za równie niefortunną trzeba też uznać próbę dziennika moskiewskiego wytłomaczenia *zadań* rady. Gdyby celem utworzenia rady było jedynie „zapewnienie jednolitości działań rozmaitych urzędów," nie byłoby potrzeby wprowadzać do składu rady rzeczoznawców, niebędących na służbie państwowej; wystarczałoby utworzenie stałej narady z wyższych przedstawicieli pojedyńczych działów administracyi, bez łączenia w jedną całość pierwiastków różnego charakteru i w wielu razach może sprzecznych. Zresztą, niema zgoła żadnej potrzeby wzmacniać jedności pomiędzy rozmaitymi urzędami; jedność ta mniej niż gdziekolwiek była ostatnimi czasy łamana właśnie w Królestwie Polskiem — że wspomnimy dla przykładu o działalności byłego kuratora okręgu naukowego warszawskiego."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Witebsk. Listok* donosi, iż w pow. Lepelskim gub. Witebskiej w dn. 13 b. m. zamknięto wiele sklepów monopolu wódczanego z powodu, że wódki tam prawie wcale nie kupowano.

— Towarzystwo przeciwżebracze postanowiło otworzyć w Czerniakowie stały przytułek dla dziewcząt. Zakład ten, połączony z domem zarobkowym, na razie pomieści 40 dziewcząt.

— W kolonii Cachueira w Paranie (Brazylia) w d. 1-ym października r. z. powstało polskie kółko rolnicze. Po przełamaniu pierwszych trudności rozwija się pomyślnie. Wystawiono już budynek szkolny kosztem 2,000 milreisów i założono czytelnię. Prezesem Towarzystwa jest p. Kazimierz Witkowski, który ofiarował plac na budowę szkoły. Adres Towarzystwa: „Sociedade do Polacco, kolonia Cachueira, Corejo Sant Mateusz. Parana — Brazil."

Szkoły. Kursy praktyczne piwowarstwa w Warszawie rozpoczną się za kilka dni.

— Celem upamiętnienia zasług pedagogicznych prof. Jana Pankiewicza, w r. z. utworzono fundusz stypendyalny jego imienia. Wynosi on obecnie: 3,000 rs. w listach likwidacyjnych Królestwa Polskiego i 390 rs. 15 kop. w gotowiznie.

— Przy szpitalu św. Jana Bożego uniwersytet warszawski urządza salę do wykładów, pracownię i gabinet dla chorych na umysłe i nerwowo.

— Po wakacyach otwarty będzie wydział prawny w uniwersytecie tomskim.

Doktoryzacye. Antonina Zielińska z Warszawy i Zofia Krzyżanowska z Mińska otrzymały stopień doktora medycyny na uniwersytecie berneńskim w Szwajcaryi.

Napady. *Kurger Warsz.* podaje następującą wiadomość: „W nocy z soboty na niedzielę towarzystwo, złożone z 18 mężczyzn i 22 pań, wybrało się na Saską Kępę i tu w ogródku „Prado" wynajmujący salę, zabawiało się tańcem. Wtem do sali weszło dwóch nieproszonych gości, o wyglądzie bardzo podejrzanym. Wyproszono ich za drzwi, lecz po upływie jakiegoś czasu wrócili w większej liczbie, uzbrojeni w noże i rewolwery. Na szczęście ktoś wcześnie uprzedził zebranych o zamierzonym napadzie, więc zatarasowano drzwi i okna. Kobiety ukryły się na strychu, a mężczyźni bronili wstępu złoczyńcom do wnętrza sali przez okna, które porozbijano. Oblężenie trwało kilka godzin, przyczem strzelano z rewolwerów. Jedna z kobiet jest raniona wystrzałem; dwóch mężczyzn rabusie ranili nożami. Jeden z rzezimieszków został również postrzelony kulą. Dopiero kiedy zaczęło świtać, rabusie opuścili „Prado," przez nikogo nie ścigani." Okazuje się więc, że bezpieczeństwo publiczne coraz bardziej jest zagrożone. Mieszkańcy miasta, nawet w licznej gromadzie, doznają takich przygód, jak ludzie w dzikich stepach amerykańskich przed laty.

Wystawy i zjazdy. Zjazd lekarzy kolejowych w Petersburgu uchwalił, że służba zdrowia na kolejach powinna mieć takie same prawa, jak inni urzędnicy tych instytucyj, tj. zasiadać w radach kolejowych z prawem głosu decydującego i korzystać z praw służby rządowej.

— P. Bronisława Wiesiołowska w swojej szkole malarstwa i rysunku dla kobiet urządziła wystawę prac uczenic.

— P. Józefa Gagatnicka, przełożona pensyi, otworzyła wystawę prac swych uczenic.

— Dn. 15 b. m. otwarto w Pradze Czeskiej wystawę budownictwa i inżenieryi.

Przemysł i handel. Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa zwróciło uwagę na włościańskie tkactwo domowe w Królestwie Pols., szczególnie zaś na wyrób tkanin z grubej sierści. Pragnąc przedmioty te upowszechnić w guberniach wewnętrznych Cesarstwa, ministeryum zawarło umowę z tkaczem-instruktorem z zakładów w Żyrardowie, ażeby wyuczył takiego tkactwa włościan gubernii Twerskiej. Niezależnie od tego ziemstwo twerskie zaproponowało instruktorowi pozostać tam czas dłuższy i wyznaczyło mu za naukę włościan osobne wynagrodzenie. *Warsz. Dn.*

Katastrofa. W dzielnicy londyńskiej Blackball, spuszczano na Tamizę po raz pierwszy krzyżowiec pancerny, „Albion.“ Skutkiem szybkiego ześliźnięcia się okrętu w wodę, olbrzymia fala zalała całą trybunę widzów i 300 osób porwała do rzeki. Z tej liczby kilkadziesiąt utonęło.

Redaktor i wydawca dr. Sl. Al. Świętochowski.

[illegible] Цензурою. Варшава 12 Іюня 1898 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, Nr. 8.